N. 49. WARSZAWA d. 27 Listopada (9 Grudnia) 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Nume pojedynczy kop. 15. —w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłają należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26 Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

WINCENTY POL

JAKO PROZAIK.

Studjum K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

W roku następnym 1870 wydał Pol serję drugą tychże *Obrazów*. We wstępie słuszny wyrzut robi Dziennikarstwu galicyjskiemu, że nie zajmuje się literaturą, która za obrębem polityki leży; odpowiada więc tylko na otrzymane listy, które otrzymał z uwagami nad Serją pierwszą.

„Zarzuty te i wymagania (pisze Pol) są dwojakiéj natury: jedni zarzucają mi brak obrazowości i poetycznego poglądu na naturę, z powodu wstępnych uwag w każdym prawie z obrazów, które (jak się wyrażają) „szkołą i nudną naukowością trącą.“ Drudzy wymagają wyłączenia z naukowéj książki obrazowych opisów natury i tych postaci żywych, które się pojawiają na tem tle natury miejscowéj, według odrębnych typów i owego związku, w jakim wszędzie człowiek z naturą stoi i pod jéj wpływem zostaje.“

Wykazawszy trudności rozwiązania tak nieoględnie uczynionych zarzutów, w końcu pisze:

„Stworzyłem nowy rodzaj widoków natury na polu geografii opisowéj w tych obrazach moich *„Z życia i natury*.“

„Jeżeli oryginalność moja ma mi być za winę poczytaną, to muszę część winy złożyć na koło czytelników, które jeszcze nie zrobiło wyboru pomiędzy nauką a zabawą, które nie wie czego chce, i nie wie czego od swoich autorów domagać się może i żądać ma prawo.

„Bardzo ściśle trzeba zbadać rzeczy naukowe, aby je można dać obrazowo dla większego koła i przy powszechnym wstręcie do nauki, przemycić to do książki popularnéj, co się w niéj tylko jako przemycony towar ostać może..

Dosadna to odpowiedź, a malująca wymownie społeczność Galicyjską, która pragnie w książce zabawy a nie nauki. My wdzięczni jesteśmy Polowi, za *stworzony nowy rodzaj widoków natury*“, który porywa zachwyca i naucza zarazem.

Serja druga rozpoczyna się obrazem *„Na łodzi“* Tu razem z Tadeuszem Bielińskim, na flotylli małéj, bada Dniestr, a w chwili spoczynku odczytują *Pani Jeziora*, poemat Walter Skotta, w cudnym przekładzie *Karola z Kalinówki* (Karola Sieńkiewicza) który wówczas zachwycał miłośników literatury.

Pięć ustępów poświęconych jest téj rzece, z zwróconą głównie uwagą, na potrzebne prace do jéj usptawnienia, tak dla statków zwyczajnych jako i paropływów.

Z pomiędzy siedmiu obrazów następnych téj Serji, zwraca przed innemi uwagę jeden p. n. *„Puszczaki Mazowsza“* w którym maluje nam dokładnie, znanych nam *Kurpi*, a od wiekowych mieszkańców puszcz Mazowieckich. Wyborną znajdujemy tu ich charakterystykę, położoną w porównaniu rodu Kurpi z innemi rodami ludu. Tak *Góral* jest zawsze głównie *pasterzem*: pobrzeżny mieszkaniec wielkiego porzecza głównie *orylem*: w urodzajnych ziemiach osiadły ziemianin głównie *oraczem*: nad jeziorami i rybnemi rzekami osiadły głównie *rybakiem*: wstepach osiadły głównie *hojdajem*, *czabanem* lub *tabmiczykiem*, odpowiednio do rodzaju bydła i stada a w lasach w końcu osiadły, głównie *myśliwym*. Ztąd trafne przywodzi przysłowia:

„Gdzie łów, tam chów.
Gdzie wiele ryb,
Tam rośnie grzyb.
Gdzie wiele lasu,
Tam wiele wypasu.
Gdzie małe mozoły,
Tam wiele pszczoły.“

Jakoż w gnieździe *Kurpiów*, głównym zajęciem od wielu wieków było *łowiectwo*, i hodowla pszczół dzikich po ogromnych lasach i puszczach, od których sami się nazywali *Puszczakami*.

Drogocenne dla geografii krajowéj podaje tu Pol, badania swoje, nad główną rzeką Narwią, która ich siedziby głównie oblewa, niepomijając wszystkich rzek i rzeczek, które do niéj wody swoje wlewają; oznacza dawne granice słynnych w dziejach XII i XIII *Jadźwingów* czyli *Jatwieży*, litewskiego plemienia, który rozpuszczając zagony swoje wgłąb starego Mazowsza, w krwawych bojach, do szczętu wytępionemi zostali i tylko w przysłowiu Rusinów podlaskich imię ich się przechowało. Mamy tu nadto szczegółowe wyliczenie wszystkich wsi Kurpiowskich, między granicą pruską i Narwią, jak znaczniejsze osady położone w borach między lewym brzegiem Narwi a Bugiem. Środkowym punktem siedzib Kurpiów jest Ostrołęka.

Pol opisując ich tryb życia, ubiór i zwyczaje, badając i język, zamyka zajmujący swój obraz o *Puszczakach* przywiedzeniem Kurpiowskiéj *kolendy*, w któréj z serdeczną prostotą i naiwnością, zapraszają *Dzieciątko Jezus* na starostwo Ostrołęckie, wymieniając szczegółowo, jakiemi by je częstowano przysmakami i jakiemi otoczono wygodami.

Pełno tu znajdujemy nowych i nieznanych postrzeżeń, które tylko na właściwym gruncie, i dobrze się wżywszy z miejscowemi mieszkańcami zdobywać można. Tak *np.* węże i żaby, które w ciągu żeglugi na *białéj* wodzie Wisły, trzymały się pod pokładem galarów, i oryl ich odpędzić niemógł skoro na *modrą* Narew wpłyną, same uciekają tak tym gadom jest wstrętna ta woda leśna.

W obrazie z *dobrych kątów*, mamy dokładny opis źródeł Wisły, i nadbrzeżnych jéj mieszkańców; najgłówniejszy ustęp w nim zajmuje puszcza *Niepołomic*, słynna w dawnych wiekach, królewskiemi łowami. Dziś znikły w niéj dzikie ostępy i bagna, a o turach, rysiach, łosiach, o niedźwiedziach i jeleniach, które tu niegdyś bito na polowaniach, pozostało tylko podanie. Gdzieniegdzie olbrzymie dęby i sosny, starodrzewne grabiny, z uroczym mrokiem i mchowem podsłaniem, dają wyobrażenie téj niezmąconéj ciszy, jaką niegdyś oddychały te lasy.

Pol, który tę miejscowość uczcił zbiorem powabnych poezyj, tu o nich sam wspomina.

„Od pierwszéj wycieczki do puszczy Niepołomskiéj poszło zapoznanie się z miejscowemi ludźmi, i następnych lat każdéj wiosny, każdéj jesieni gdy kilka dni wolnych było, odszukiwałem z upragnieniem tę leśną ustroń i bawiłem nieraz po tygodniu w puszczy chcąc bliżéj poznać i oddech natury miejscowéj i podania miejscowe. Tak powstał tu zbiorek poezji „*Z boru*" a „*Silva Rerum*" w tym zbiorze nie jest poetycznym wymysłem, ale rzeczywiście miejscową legendą, i rzuca wielkie światło na naturę puszczy, na osiedlenie miejscowe i powolne szerzenie się chrześcijaństwa w wiekach, które historja już za chrześciańskie podaje". Z tych *dobrych kątów* przenosi nas autor w drugie nad brzegi Dniestru, Prutu i Ceremoszy, w gniazdo górali *Huculów*, tak różnych od *Podhalan* tatrzańskich.

Ściśle z tym obrazem łączy się drugi „*Z czarnego lasu i czarnéj góry*" w nim bowiem, w szerokich ramach, mamy opis podróży karawanowéj Pola, aż ku granicy węgierskiéj i zapoznajemy się bliżéj z tymi góralami.

Obraz: „*Na Jeziorach*" daje nam wyobrażenie o jeziorach, które na przestrzeni dwustu z górą mil geograficznych natrafiamy na mapie. Kraj, który idzie *po jeziorach*, nazywa *pojezierzem*, tak go bowiem nazywają Mazury w okolicach *Działdowa*, którzy na tem pojeziorzu siedzą. Pol przed dwudziestu kilku laty, tę nazwę podał do pism publicznych, jako odszukaną zgubę. Nazwa ta doskonale rzecz malująca, w jednym słowie daje geograficzny obraz kraju. A wieleż takich nazw u naszego ludu istnieje, któreby mogły zbogacić terminologję naukową, i dobitniéj przedmiot oddające, niż te, którymi nas częstują, uczeni z gabinetow swoich!

Pol naukowo z jednéj strony badając, z drugiéj zaraz maluje nam z całym urokiem poetycznym, miejscowość na którą spogląda. Tak i tu, patrząc na obraz „*Chłodnéj północy*" wspólnie podsłuchuje „*głosy jeziornéj natury*" z owym krzykiem czajek i rybitw morskich, z wrzawą dzikich kaczek, piskiem kulonów, hukaniem bąków, i kruczeniem żórawi, które na błotnéj wierzchowinie w leśnych ostępach pod wieczór wyprawiają tańce!

„Z jakimże urokiem (woła Pol z zachwytem) palą się tu na zwierciedle jezior poranne i wieczorne zorze! Jakże wesoło tańczy po niem słup słonecznego światła lub srebrna dróżka księżyca!

„Kiedy się gwiazdami wyiskrzy niebo, zdają się tonie jeziorne roztwierać swe głębie i przyjmują gwiazdy, otwierając się szeroko... Z łodzi patrząc wówczas w jezioro, nie ma pomiędzy niebem i ziemią przedziału, bo niewiedzieć gdzie się kończy powietrze a zaczyna się woda. Odległe brzegi mierzchną i nikną dla oka, a łódź zdaje się szybować po morzu gwiaździstem.. czajka tylko nie śpi w nocy i bąk wodny huka po trzcinach!"

Tu następnie mamy opis połowu na jeziorze w czasie letnim, a zamyka całość połów zimowy w *toniach* wyrąbanych na lodowisku. Pomiędzy niemi Pol daje nam pyszne malowidło powodzi corocznéj w Pińszczyznie, na który z radosnem sercem oczekują wszyscy mieszkańcy, zarówno wsie jak dwory wyglądając jéj z utęschnieniem.

W obrazie „*Na Groblach*" znajdujemy zajmujący opis *Żuław* słynnych wytworzoną, a właściwą sobie rassą krów mlecznych, tych *Żuław* co „jak ruta są zielone, prześliczną pasznistą łąką."

Groble tu silnie zbudowane i starannie utrzymywane, chroniąc je od wiślanych zalewów, są jedyne dla nich tarczą, zabezpieczającą pracowite gospodarstwa.

Znają tę okolicę dobrze nasi flisacy i oryle, którzy wszędzie przybijają do brzegu, gdzie się tylko wznosi kapliczka *Ś. Barbary*, prosząc o śmierć szczęśliwą i dzwoniąc w dzwonek *Ś. Warwarki!*

„We wszystkich kościołach (mówi Pol) gdy zadzwonią na *anioł pański*, zdejmują czapkę flisacy na galarach płynący i odmawiają modlitwy. A po modlitwie nieszpornéj, po dzwonieniu na *anioł pański*, uderza serce dzwonu w znacznych przestankach w jedną kresę tylko i wówczas odmawiają flisacy na wodzie, a miejscowi ludzie na brzegu, modlitwę za dusze wiernych zmarłych, którzy potonęli w Wiśle, i za dusze które zkądinąd ratunku nie mają. Nic nie daje więcéj ruchu i malowniczości tym widokom Wisły, jak te statki ładowne, które się o sto mil i więcéj wodnéj drogi ściągają ku Wiśle, i już na dalszym jéj biegu pokrywają nieraz całą jéj wstęgę szeroką. Zdala wyglądają te galary jak drobne spławki na wodzie, które w cieniu w klin giną, a na zakrętach dopiero Wisły wypływają na otwarte tonie. Gdzieś jeszcze tak daleko byli, a tu już mijają brzeg prawie, i policzysz już ludzi, i rozpoznasz stroje i twarze w przelocie galaru, spławu lub wiciny. Słychać nawet gwar na galarze.. albo w przelocie usłyszysz nawet zwrotkę pobożnéj lub światowéj pieśni!..

Flisakowa żona,
Siedzi sobie doma,
A flisaczek, nieboraczek,
Robi wiosłem jak robaczek,
Płynie — do Torunia!

— A zkąd ludzie? wołają głosy od brzegu.
— I pozdrawiają się w Bogu!..
— Szczęśliwa droga!
— A wam daj Boże brzeg szczęśliwy."

Przedostatni obraz *z Tatr* jest jakby kartką z pamiętników, w którym opisuje swoją wycieczkę z żoną i dziećmi w góry. Daje tu nam Pol wyobrażenie, jak górale stoją najwyżéj pod względem oświaty i uobyczajenia, pod względem poczucia godności człowieka i umiejętnego korzystania z czasu, z grosza, z sił.

„Nie jest tu nic niezwykłego spotkać się z człowiekiem, który wszystkie szkoły, a nawet Uniwersytet porządnie ukończył, który kilku językami mówi, a pomimo to nie wlecze się po świecie, lecz wróciwszy do domu, wdziewa na siebie góralską gunię napowrót, a jako gazda obyczajem ojców, owczarzy, rybiarz lub furmani, jak ci co przed nim byli i na zagrodzie tu siedzieli!"

Maluje nam wyłącznie *Podhalan* t. j. górali mówiących po polsku, i wyborną skreśla ich charakterystykę, badając ich życie, zajęcia, zwyczaj i obyczaj, które się od prastarych wieków nieskażenie przechowały.

Rozdział ostatni w téj drugiéj *Serji* nie jest już obrazem jak poprzednie (z wyjątkiem pamiętnika o Dniestrze) ale jest raczéj naukową rozprawą, w któréj streszcza Pol swoje poglądy etnograficzne i geograficzne. Wykazuje błędne dotąd stanowisko nauki *Leśnéj*, że gospodarstwo bożego posiewu lasów, nie zgadza się z gospodarstwem leśnym człowieka" i zwraca uwagę badaczy, ażeby pilniéj śledzili tak wyrazy jak wyrażenia ludowe, gdyż w nich dopiero znajdą prawdziwe nazwy i odcienia, wybornie odpowiadające naturze rzeczy. I na dowód tego stawia rozmowę jaką miał ze swoim przewodnikiem, z któréj dopiero pojął całą ważność téj ludu terminologii, tak bogatéj a tak rozmaitéj, o któréj pojęcia nawet nie mają nasi uczeni.

Z tego sprawozdania chociaż pobieżnego, czytelnicy mogą powziąść przekonanie, o nieocenionéj wartości tak całego dzieła, jak i o skarbie zebranych nowych wiadomości, nieznanych szczegółach i nowych spostrzeżeniach, których żadna księga w literaturze naszéj nie dotknęła.

Z *obrazów* Pola, każdy po ich przeczytaniu musi się poddać głębokiéj, poważnéj zadumie, rozmyślając nad cudami téj ziemi ręką Bożą stworzonemi, i tym ludem który ją zamieszkuje. Zdobywa nieświadomie czytelnik naukę i wiedzę, o rzeczy zupełnie prawie sobie nieznanéj, a zarazem uczuwa należny hołd dla autora i serdeczną wdzięczność, za taką duchową biesiadę, którą spożywa na każdéj niemal stronnicy tego dzieła. My, jako sprawozdawcy, w ciasne ramy ściśnięci, z żalem, musieliśmy wiele ustępów opuszczać, choć porywały nas swoim urokiem czarownym, ażeby granic oznaczonych nie przekroczyć. Ale z sumiennym przekonaniem, polecamy naszym czytelnikom tę księgę, którą do arcydzieł w téj gałęzi literatury śmiało policzyć możemy.

Czytelnik im więcéj w téj duchowéj atmosferze przebywa, którą go twórca *Mohorta* swymi *obrazami z życia i natury* zwolna osnuwa, czuje to ciepło co rozgrzewa jego myśl, które z początku fruwając jak młode ptaszę, zaczyna bujać coraz swobodniéj po tych krainach tak rozmaitych, które zwiedza z autorem, czy to po lodowiskach wybrzeży morskich, czy w bujnym stepie, w ciemnych ostępach puszczy lub w wyniosłych Tatrach. Wrażenia jakie w téj wędrówce odbiera, są tak malownicze, że zamykamy księgę, a wszystkie obrazy stoją nam wyraźne przed oczyma duszy, w całéj śnieżnéj barwie, z wiernym obliczem i z tem życiem które tak wybornie Pol nazywa: „Oddechem natury."

Łączność nierozdzielną stanowi rozprawa osobno wydana, obejmująca: „*Rzecz o djalektach mowy polskiéj.*" (Kraków 1869 r.)

W niéj autor wykazuje znaczenie tych djalektów, i ich granice jakie sam odnalazł pomiędzy ludem. Przedmiot nowy, zarówno jak badania i poglądy, a dopełniający: „*Obrazy z życia i natury.*"

(d. c. n.)

KORESPONDENCJA

TYGODNIKA MÓD.

Z WIEDNIA.

(Dalszy ciąg).

W teatrze prowincjonalnym w Gracu przedstawiano niedawno komedję Sacher Masocha „Unsere Sclaven" (Nasi niewolnicy), o któréj pisma tamtejsze bardzo pochlebnie się wyrażają, a któréj przedmiotem jest taż sama kwestja, dziś najważniejsza i najgorętsza może, ze wszystkich socjalnych. Autor wprowadza pięć kobiet emancypowanych, jedna w taki, druga w inny sposób i kilku mężczyzn niegodnych tego imienia, niegodnych przewagi, moralnéj nad kobietami. Jedyny prawdziwie męzki charakter pobija w końcu swe główněj bohaterki, i w nagrodę swoich usiłowań otrzymuje jéj rękę. Bohaterką tą jest Faustyna Löwenberg, kobieta najszlachetniejszych popędów, wzniosłego umysłu, po-

stępowa, przytem wykształcona i pragnąca dźwignąć całą płeć swoją, tak wysoko jak sama stoi i znająca się dobrze na środkach do tego celu prowadzących. Słusznie niewolnikami nazwani kapitan Molwitz, bankier Salomon i adwokat Haase, mają sobie za szczęście ulegać jéj humorowi, lecz Paweł Urban inaczéj pojmuje stanowisko swoje jako mężczyzny. Nie ulega on jéj wcale, lecz przeciwnie stara się wpłynąć na jéj umysł. Nieco pierwéj kochał się był w śpiewaczce imieniem Madelaine, lecz ta, straciwszy nadzieję ciągnienia z niego takich korzyści materjalnych jakich się spodziewała, zobojętniała wkrótce. Zawód w nieszczęśliwéj miłości wzmocnił jego charakter, rozszerzył jego widnokrąg i serce jego uczynił dostępniejszem dla szlachetniejszych uczuć. Nie kocha już Madeleny, a gdy ta, spotkawszy go w salonach Faustyny, błaga go o przebaczenie i miłość, okazuje jéj pogardę, téj uwielbianéj artystce, ubóstwianéj piękności, téj przed którą hrabia Rolzof jak niewolnik tarza się w prochu i całuje bicz którym go karci. Madelaine obrażona i w oczach całego „dobrego towarzystwa" zbeszczeszczona, przemyśliwa o zemście i wykonuje ją dziwnym sposobem, kradnąc mu pieniądze, które Faustyna mu powierzyła. Paweł chce być stawionym przed sąd, nie przyjąłby łaski od Faustyny, woli wyrok sądowy. Faustyna nie chce na to pozwolić, lecz w tem postrzega chustkę od nosa, którą Madelena kradnąc banknoty, zostawiła w pokoju. Okoliczność ta obudza w niéj gwałtowną zazdrość i jest hasłem silnéj walki uczuć, do jakiéj taka tylko kobieta jest zdolną. Odtąd przeciwieństwa z wielką siłą dramatyczną uderzają o siebie i namiętności wrą. Madelaine schowała skradzione papiery do zarękawka i przez zapomnienie zamieniła go z Faustyną; tym sposobem kradzież wykrywa się, a Faustyna pada w objęcia Pawła, którego serce jéj już dawno wybrało, a któréj nadto i dla tego jest jéj drogim, ponieważ on jeden może jéj dopomódz do pracowania nad ideą emancypacji kobiet. Nie możemy stanowczo ocenić téj sztuki, ponieważ znamy ją tylko ze sprawozdań dziennikarskich, ale jakkolwiek bądź, za zasługę poczytujemy znanemu i cenionemu zresztą w piśmiennictwie niemieckiem autorowi, że dorzucił swoją cegiełkę do budowy, która niewątpliwie stanie się zaszczytem wieku w którym żyjemy, jeżeli wspólnym usiłowaniom powiedzie się doprowadzić ją do końca. Pod względem nagłości, znaczenia i doniosłości, emancypacja kobiet jest pewnie tem samem, czem była do niedawna kwestja niewolnictwa w Ameryce, gdy tę załatwiono szczęśliwie, cóż przeszkadza zająć się na prawdę rozstrzygnięciem tak ważnéj sprawy, jaką jest wyzwolenie kobiet z pod wpływu dotychczasowych przesądów? Idzie tylko o wzbudzenie ogólnego interesu, o pozyskanie jak najwięcéj przychylnych dla téj sprawy, a to właśnie idzie oporem. Ogół nie może oswoić się z nową reformą ustroju społecznego, szydzi nawet z bohaterek ludzkości które występują z ciasnego koła swego zakresu dla toczenia walki o ideę. Przyczyną tego jest nietylko obawa brzydszéj połowy ludzkości o zagrożone niby prawa, lecz oraz niejasne pojmowanie znaczenia emancypacji. Domaganie się, aby kobietom wolno było rozszerzyć zakres swojéj wiedzy, kształcić się do pewnych zawodów, uczyć się lepszego wypełniania obowiązków, a zatem: gruntowniejszéj nauki, dłuższego uczęszczania do szkół, jest równie słusznem i rozsądnem, jak odrzucanie go, bezprawiem i nierozważnem zapomnieniem najważniejszych interesów. Przeciwnicy emancypacji sądzą, że jeżeli kobieta więcéj niż dotąd oddawać się będzie naukom, zaniedba obowiązki żony, gospodyni i matki, lecz zdanie to jest najfałszywszem ze wszystkich jakie przeciwko téj kwestji przytoczyć można. Doświadczenie bowiem uczy, że kobiety wykształcone i do pracy przywykłe, daleko lepiéj dopełniają obowiązków swoich w kuchni, pralni, przy łóżku dziecięcia, daleko lepiéj umieją uprzyjemnić życie mężowi i rodzinie, niż kobiety zwyczajne, z powierzchownem wykształceniem, i daleko mniéj niż te potrzebują wydatków na swoje rozrywki i przyjemności. Cóż mówić dopiero o korzyściach jakie odniosłoby społeczeństwo w ogólności, gdyby kobiety kształciły się do pewnych zawodów, któreby im i ich dzieciom na wypadek osierocenia zapewniały utrzymanie i niezawisłość? Dla tego cześć wszystkim, co w jakikolwiek sposób popierają kwestję emancypacji kobiet i dążą do jéj rozwiązania.

Chcąc mówić teraz o książkach najnowszych, wymienię najprzód utwór kobiecy, chociaż nie w Wiedniu wydany, a zatem do mego zakresu nie należący. Zasługuje jednak na wspomnienie, ponieważ porusza kwestję obchodzącą cały świat niewieści.

Lizeta Wilhelmi wydała w Düsseldorfie godne uwagi pisemko, pod tytułem: List otwarty do kobiet niemieckich w przedmiocie wychowania fizycznego. Autorka kreśli tu wiadomość o rozwoju gimnastyki u Greków i u Niemców i wzywa kobiety do zwrócenia uwagi na zaniedbaną gymnastykę kobiecą, zachęca do zawiązania stowarzyszeń gymnastycznych, przedewszystkiem w celu wykształcenia dobrych do tego nauczycielek, których obecnie niema nigdzie. Słusznie mówiono że nie jest to wcale obojętną rzeczą od kogo dziewczęta uczą się gymnastyki. Mężczyzna bowiem nigdy nie potrafi zastosować się należycie do warunków racyonalnéj gymnastyki dla płci drugiéj. Zresztą kobiety umiejące gymnastykę, znalazłyby stałe zajęcie w instytutach ortopedycznych z wielką dla chorych kobiet i dziewcząt korzyścią, które częstokroć dla tego w instytutach tych nie szukają ulgi w cierpieniach i ratunku przeciw kalectwom, ponieważ ćwiczeniami gymnastycznemi nie kierują tam kobiety, lecz mężczyzni.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Szaławiła. staroszlachecka powieść przez B. B Toruń 1870 r.

Byłaby-to bardzo wesoła powiastka, gdyby smutnych nie budziła myśli. Kiedy się działy owe pocieszne wypadki, które autor opisuje, trudno odgadnąć, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że wtedy szlachta polska zeszła już ze sceny historycznéj, a zatem dość miała czasu na pijatyki, bijatyki i *awantury* godne średniowiecznych czasów. Otóż w błogosławionych dniach owych żył sobie młody szlachcic Zbisław Wierzchowski, (dla swoich pięknych przymiotów nazwany Szaławiłą), który przehulawszy dość znaczny ojcowski majątek, postanowił sposobem, już w ów czas szczęśliwie praktykowanym, przez bogate ożenienie naprawić swoje interesa, aby znów z takiemi, jak sam urwisami, ale szlachtą herbbwą, pić, grać w karty i za łby się wodzić. Jakoż udało mu się przy pomocy przekupionego stryja-opiekuna pozyskać bardzo posażną pannę, bo mającą w spadku po rodzicach kilka wsi i miasteczko. Zaledwie ślub się odbył, w chwili gdy młoda para wychodziła z kościoła, pojawia się jakiś buńczuczny stary szlachcic i protestuje przeciwko zawartemu małżeństwu, jako nieważnemu, gdyż pan młody zaręczony był z jego córką. Powstało zamięszanie ogromne; nowo-zaślubiona, która wcale nie kochała *Szaławiły*, i tylko namowom uległa, korzystając ze zdarzonéj sposobności, uciekła z matką i przepadła, jak kamień w wodę. Jest to punkt wyjścia dla autora powiastki. Teraz rozpoczyna się prawdziwa Odyssea: rozgniewany, obrażony, a w gruncie rzeczy zawiedziony majątkowo młody mąż w towarzystwie i ze współdziałaniem hulaszczéj drużyny czyni wyprawę na odszukanie i zabranie żony, jako swéj prawnéj własności.

Autor niemało rozwinął dowcipu, stawiając swoich bohaterów w różnych tarapatach, arcy-ciekawych i arcy-śmiesznych, ale zawsze przykre czyniących wrażenie na myślącym czytelniku. Naturalnie, rzecz się kończy pomyślnie, i Odyseusz, chciałem powiedzieć Szaławiła, odzyskuje swoją zgubę.

Styl poprawny, prócz kilku prowincjonalizmów, charaktery kreślone śmiało, ale nie wykończone, oto zalety owéj staroszlacheckiéj pamiątki, która przywodzi nam na pamięć prześliczne obrazki Kaczkowkiego przedstawiające szlachtę sanocką, a szczególniéj też jeden z utworów Kraszewskiego p. t. *Przygody pana Marka Hińczy* zamieszczone przed niedawnym czasem w Tygodniku Powieści i Romansów.

Praktyczny wykład pierwszych zasad ekonomji społecznéj i moralnéj zebrał (z niemieckich i francuzkich autorów; własnemi uwagami pomnożył) *Juljan Statkowski* założyciel stowarzyszeń spożywczych Merkurego w Warszawie i Oszczędności w Radomiu.

Warszawa 1870 r. stron. 122.

Rzadko dziś spotkać się można z książką prawdziwie pożyteczną; na poezyjkę, powieść, a nadewszystko kalendarz zawsze się znajdzie pochopny nakładca, ale gdy idzie o jakie popularno-naukowe książki, których na teraz największa się czuć potrzeba, trudno znaleść nakładcy, a podobno i sumiennego, a umiejętnego autora. Od czasu do czasu ukazują się jednak na półkach księgarskich, niby *rari nantes in gurgite varto* skromne broszurki, mające na celu w formie przystępnéj szerzenie wśród narodu pożytecznych wiadomości.

Taką właśnie pracą jest książeczka powyżéj zacytowana którą w roku jeszcze zeszłym obdarzył nas p. Statkowski.

Dziwna rzecz, w wieku tak pozytywnym, tak praktycznym, jakim jest obecny, kiedy wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiéj jako tako się rozwijają, ekonomja polityczna, przynajmniéj w kraju naszym, najmniéj się rozpowszechnia.

Nie mówię tu o dziełach naukowych, systematycznych, bo tych mamy kilka tak tłomaczonych, jak oryginalnych, że wspomnę między temi ostatniemi znakomitą pracę Supińskiego, ale książek popularnych, przystępnych dla każdego, jakbyśmy wcale nie mieli. Usiłowania *Ekonomisty* szerzenia wśród czytającéj publiczności wiadomości dotyczących gospodarstwa społecznego nie mogą wydać pożądanego owocu dla téj prostéj przyczyny, iż dla większéj części naszéj publiki jest to *terra incognita*, która ją interesować nie może, choć powinna. I ktoby się spodziewał tego, ludzie z powołania zajmujący się przemysłem lub handlem najmniéj mają wyobrażenia o ekonomii politycznéj.

Pod każdym więc względem książka p. Statkowskiego zasługuje na jak największe upowszechnienie, tymbardziéj, że spełnia wszystkie warunki, jakich żądamy od każdego popularnego wykładu: jest jasno napisaną i daje tylko ostateczne wypadki nauki.

Nadto, autor umiał zachować szczęśliwie środek pomiędzy książką czysto naukową, a pogadanką przystępną i zrozumiałą, nie tylko dla ludzi mało rozwiniętego umysłu, ale nawet dla młodzieży niemającéj żadnego życiowego doświadczenia.

Zachowanie zaś właściwego *tonu* jest tu rzeczą wielkiéj wagi, jest to skopuł o który się rozbiło powodzenie wielu odczytów publicznych, jakie w ostatnich czasach miały miejsce w Warszawie. Jeśli prelegent traktował rzecz systematycznie naukowo, rozwijał nowe pomysły, krzyczano na niego, że to nie aula uniwersytecka, że nikt nie jest dostatecznie przygotowany do słuchania uczonego wykładu pana profesora, że ani czas, ani mtejsce po temu; jeśli znów prelegent zstąpił do elementarnych zasad swojego przedmiotu, uwydatniając go w swobodnéj, mniéj lub więcéj urozmaiconéj pogadance, nowe krzyki i gniewy, że to lekceważenie publiczności, która przecież nie jest gromadą żaków szkolnych których trzeba uczyć abecadła danego przedmiotu.

Ta sama historja powtarza się z książkami popularnie rzecz wykładającemi: jedni zarzucać będą autorowi, że suchy, nudny, zanadto uczony, a drudzy, że zbyt powierzchowny, że promil to lub owo, że nic nowego nie powiedział, coby rzucilo światło w niejednéj kwestji.

Autor *przystępnego wykładu ekonomji społecznéj* zadowolić może jednych i drugich. Książkę jego z pożytkiem przeczyta i znający przedmiot i taki, co nigdy o nim nie słyszał, mając jedynie niepewne o nim wyobrażenie, jakiego nabył z codziennéj praktyki życia.

Autor przeznacza swoją pracę „dla dojrzalszych uczniów klas rzemieślniczych" oraz dla odczytywania jéj w elementarnych szkołach wiejskich i miejskich, i bardzo słusznie; z naszéj strony dodamy, iż powinien ją mieć każdy lub każda w ręku, którzy na najprostsze pytania swoich dzieci lub braci i sióstr młodszych nie umieją odpowiedzieć. A wieleż to z nich nie znają znaczenia i przeznaczenia *pieniędzy*, których tak bardzo pożądają?

Metoda pana Statkowskiego dobra, lepsza od dyalogowanéj. W dziewiętnastu swoich lekcjach dotknął i wyjaśnił to, co najwięcéj każdego członka społeczności obchodzić może. Wybornie wytłomaczył potrzebę pracy, jéj podział, dobrodziejstwa wynikające z ulepszenia maszyn, a mianowicie też, iż one nie pozbawiają ludzi roboty, tylko ją zmieniają i ułatwiają. A daléj jasno przedstawione powołanie kupca, co to jest użyteczność i cena towarów i t. p.

Nie w jednym punkcie autor jest optymistą i konserwatystą, i nie tylko, że tego nie mamy mu za złe lecz owszem za zasługę, bo w elementarnych zasa-

dach byłoby błędem wyprowadzić kwestje sporne i dotąd nie roztrzygnione. Można się z autorem nie zgadzać w pojmowaniu tych lub owych fenomenów społecznych, ale zastanowiwszy się trochę, przyznać musimy, że inaczéj ich przedstawić nie mógł i niepowinien był. Rzecz o stowarzyszeniach, tak dziś na czasie będąca, napisana z gruntowną znajomością popartą osobistem doświadczeniem. Byłoby do życzenia, aby autor zechciał publiczność naszą poznajomić bliżéj ze *Stowarzyszeniami wzajemnéj pomocy*, których potrzeba, z każdym dniem staje się widoczniejszą.

J. P.

PIOTR PAWEŁ RUBENS

POD WZGLĘDEM

RELIGIJNYM I FILOZOFICZNYM

ZE WSPOMNIEŃ

EMILA MONTÉGUT

PRZEKŁAD

Amelji Wejnert.

Ktokolwiek podziwia Rubensa z posiadanych przez nas prób jego talentu to o mało go nie potępia. Ci, co go tylko w Paryżu widzieli, znają go jako doskonałego kolorystę, człowieka fachowego, mistrza i artystę posiadającego więcéj niż ktokolwiek w świecie, oko i rękę malarza, ale trzeba pojechać do Antwerpii ażeby poznać jego geniusz i zdać sobie sprawę z polotu jego ducha i umysłu. Rubens jest nietylko największym z malarzy flamandzkich, ale prawie nie wiedząc o tem, bo tylko genialném przeczuciem, zamknął w swych płótnach całą filozofię religii. W malarstwie wyraził najdokładniéj jak pojmują chrześcianizm we Flandrji i streścił rozmaite sposoby przedstawiania tego wzniosłego i potężnego uczucia przez artystów flamandzkich. Musimy w kilku słowach wytłumaczyć na czem to uczucie polega.

We Flandrji pojmują chrześcijanizm po ziemsku i gminnie, jedną władzą duszy nawięcéj zbliżoną do naszéj natury fizycznéj i ożywiającą naszą istotę, to jest uczciwością. To jest chrześcianizm plemienia plebejuszów, a nie arystokratów i uczonych. Tutaj on się nie zespolił jak we Włoszech z ideą piękna albo jak we Francji nie przetrawił w sobie wszelkiego pierwiastku historycznego, aby tylko uwydatnić swą metafizykę i zasady moralności. Dla tego też w płodach sztuki flamandzkiéj nie należy szukać dealnych pomysłów artystów francuzkich polegających u Poussina'na szlachetnéj powadze, a u Lesueura na czystości. Uczucie wyrażane przez artystów flamandzkich a wielce różne od uczuć doktorów i uczonych, ponieważ od początku ogarniało wszystkie ludy i zniewalało je do chrześcianizmu, było litością. W istocie lud we wszystkich krajach pojmował religię chrześciańską wzrokiem a nie słuchem, sercem a nie umysłem, uwierzył bo znał łzy i umiał złożyć do modlitwy ręce, które ze spółczucia nieraz załamywał. Cudowny, boski kwiat, typ wszystkich doskonałości wykwitł z łona ludu, a możni tego świata przybili do krzyża i zelżyli najdoskonalszą, najsprawiedliwszą i najmędrszą istotę, nie będąc godni rozwiązać rzemyka u jéj obuwia. Na ten widok osłupienie straszniejsze od wybuchu obrażonego uczucia sprawiedliwości, ogarnęło dusze wierzące, a zdumienie pozostało, skoro każde pokolenie i każdy lud je odczuwał. Potężne „*czy to być może?*“ było głosem sumienia ludzkiego, który się wydzierał z wieku po wiek i dziś jeszcze wychodzi z ust każdego co zostaje chrześcianinem. Poskramianie uczuć z narażeniem fizycznego życia aż do ostateczności jest u ludu zasadą religii chrześciańskiéj, którą nazywamy zmysłową, nie żeby ją poniżyć, tylko chcąc oznaczyć jéj właściwe pochodzenie wynikłe z uczuciowego pojmowania wieczności.

Oto jest przyczyna dla któréj obrazy przedstawiające krwawe sceny, tak wstrętne dla artystów i nieraz potępiane przez *dyletantów* religijnie i filozoficznie wykształconych, są tak liczne w świątyniach chrześciańskich. Wrażliwość ludowa stworzyła i pragnęła takich obrazów. Ręce i nogi przebite gwoździami, bok otwarty włócznią, ciało posiekane rózgami i głowa skrwawiona koroną cierniową są prawdziwemi przedmiotami czci ludu, bo rozniecają w nim uczucie litości z któréj ta cześć powstała. Im więcéj przerażający jest obraz i im ściśléj dusza ludu jest zespolona ze swą właściwą religią, cierpieniami i śmiercią Chrystusa, tem szczersze, głębsze i boleśniejsze westchnienia wywołuje u niéj podobny widok. Chrystus król chwały, w mistycznem królestwie swego Ojca i Chrystus sędzia w *Sądzie Ostatecznym* Michała Anioła jest Chrystusem teologów i filozofów, ale Chrystus skrwawiony na krzyżu, którego wielka dusza królowała męczeństwem, oto Chrystus ludu; ludu, który zawsze zapłacze przed podobnemi wizerunkami nad boleścią, niebezpieczeństwem i upokorzeniami, na jakie ubóstwo i niemoc wystawiają go na tym świecie. Chrześcianizm klas oświeconych jest w idei, religja ludu jest w czynie. Przestrzeń dzieląca te dwa pojęcia jest tak odległą, jak nią jest ziemska dolina płaczu od mistycznéj Jerozolimy.

Ludowa religia chrześciańska istniała we wszystkich krajach, ale tylko we Flandrji znalazła genialnych tłumaczy. Dawniejsi mistrze niemieccy wyrażali te same uczucia a dwa najsłynniejsze na to przykłady mamy na Holbeinie i Albercie Dürerze, co pędzlem tak wystawili chrześcianizm, ale w tych krajach dwa wypadki położyły koniec podobnym pojęciom: lekcje piękna dawane przez Włochy i reformacja. Flandrja znajdując się w korzystniejszych warunkach, pozostała wierną pojęciu ludowemu, a włoskie lekcje podniosły tylko blask i ułatwiły artystom flamandzkim tłumaczenie bolesnego epizodu *Męki*, podczas któréj niebiosa się zaciemniły. Ten epizod jest prawdziwą dziedziną artystów flamandzkich, dziedziną w któréj wszechwładnie panują.

Chrystus, którego na wyścigi malowali, nie był promieniejącym Chrystusem *Przemienienia* ani synem Bożym, ale synem człowieczym. Z dwoistéj natury Jezusa, boska pozostała w ukryciu, a tylko ludzka wyszła na jaw z nierozłącznem cierpieniem i zniewagą. Trzeba tu jednak zrobić znaczącą uwagę, iż te malowidła pomimo że tylko jako człowieka wystawiają nam Chrystusa, są jednak ściśle religijne i zgodne ze swem katolickiem pochodzeniem. Ten fakt najlepiéj wykazuje jak katolicyzm głęboko się zakorzenił w sercu ludu flamandzkiego. Oddać bolejącego Chrystusa według pojęcia ludu jest rzeczą niezmiernie trudną, a jednak tutaj nie popełniono żadnéj pod tym względem herezji. Nic w sztuce flamandzkiéj nie przypomina racjonalizmu i demokracji Rembrandta lub arjanizmu Alberta Dürera i Holbejna. Przed malowidłami artystów flamandzkich nie szepcze nam jak przed obrazami Dürera i Holbeina, że: „Chrystus cierpiał tylko jako człowiek, bo Go bóztwo opuściło, ażeby więcéj uczuł dolegliwości natury ludzkiéj” Tem mniéj możemy sobie powiedzieć co na myśl przychodzi przed Rembrandtem „że to tylko był biedny, słaby człowiek przemocą umęczony” Cudem wynikającym ze szczeréj wiary ludu, Chrystus nie stracił u artystów flamandzkich cechy nadprzyrodzonéj. Ten charakter nadprzyrodzony przebija nawet w umarłem ciele, Chrystusa w *Zdjęciu z krzyża* Rubensa, a ta natura bozka objawia się tylko ogromem cierpień, przechodzących siły zwykłego człowieka.

We Flandrji chrześcianizm ludowy przebija w postaci, jaką nadaje sztuka flamandzka najważniejszéj w religji katolickiéj osobie po Chrystusie, to jest Najświętszéj Pannie. Najświętsza Panna Flamandzka nie jest hiszpańską mistyczną, młodą niepokalanie poczętą królową, ani włoską *madonną* tą szczęśliwą matką tulącą w objęciach dziecię równie piękne i niewinne jak ona, ale *Matką bolesną*, biedną kobietą z ludu, która wszystkie łzy wypłakała u stóp krzyża swego syna. (¹)

Razem ze sztuką flamandzką powstała *Matka bolesna* w szatach w połowie wieśniaczych a w połowie zakonnych, w białym czepeczku, habicie i długim niebieskim płaszczu. Tak jest przedstawiona w *Zdjęciu z krzyża* Hemlinga. Jakżeż ona zachwycająco płacze na tym obrazie; zdaje się że oczy rozpłyną się we łzach, które chyba nigdy nie ustaną, takim bowiem obfitym płyną strumieniem. Najświętsza Panna Hemlinga wyraża tak szczerą i naturalną boleść jak żaden malarz jéj dotąd nie oddał. Taką się nam przedstawia przy *Pogrzebie Chrystusa* Kwincyusza Matsysa kiedy zapłakana, zrozpaczona i z rozdartem sercem żegna drogie zwłoki, w złudzeniu bowiem miłości macierzyńskiéj sądziła że ma jeszcze syna dopóki posiadała jego śmiertelne szczątki. Taką ona jest przy *Złożeniu do grobu* Van Dycka i na licznych płótnach, na których szlachetny artysta wystawił ją u stóp krzyża wraz ze Swiętym Janem.

Nakoniec chrześcianizm ludowy uwydatnia się w sztuce flamandzkiéj przez niezwykłe znaczenie, jakie nadał osobom katów. Na tych płótnach podobnie jak w naiwnych średniowiecznych misterjach, kaci są uosobieniem brzydoty, srogości i zezwierzęcenia. Tak ich politowanie nad Chrystusem jak nienawiść są czysto fizyczne. Możnaby utworzyć najobrzydliwszy zbiór typów zezwierzęconych i rozjątrzonych z katów na malowidłach flamandzkich, mianowicie na słynnym obrazie *Podniesienia krzyża* Rubensa w kościele Nôtre Dame w Antwerpji. Zaiste ten wielki obraz malowany przez Rubensa jeszcze w młodym wieku nie należy do tych, w których przebija jego geniusz, bo umieściwszy go obok *Zdjęcia z krzyża* można spostrzedz, jaka przestrzeń dzieli go od malowideł z czasów dojrzałości malarza i jednym tylko przymiotem może rywalizować z jego największemi arcydziełami, to jest namiętnem ożywieniem. Z jakąż energją podnoszą te draby krzyż, aby go ustawić prosto, z jakimże zapałem dokonywają tego strasznego obowiązku. Przy całéj brutalności jest tu prawda; zdaje się, że popękają ich wytężone muskuły i słychać wyraźnie *hę*! wydobywające się z ich piersi, a świadczące o potężnym wysiłku z ich strony. Rubens był za nadto genialnym, żeby w miejsce katów zrobić wykrzywione karykatury na wzór Jordaensa lub jakiego innego, ale on ich lepiéj przedstawił, bo w nich uosobił ludzką srogość.

Wrażenia, które opisaliśmy nie są wynikiem pięknego tylko wzruszającego widoku, ale dramatyczność jakiéj żadna szkoła nigdy nie dosięgła jest cechą charakterystyczną wszystkich bez wyjątku mistrzów flamandzkich. Zostali oni prześcignięci w sposobie oddawania i pojmowania piękna, a pod względem blasku i kolorytu, uroku światła i wspaniałości widoków z których są tak sławni, rywalizują z Wenecjanami, swemi dawnemi mistrzami i nauczycielami. Najwspanialsze obrazy Rubensa, jeśli się takie znajdują, nie przewyższają a nawet nie wyrównywają wspaniałości *Godów w Kanie* Veroneza, a nawet nie istniałyby bez weneckich wzorów. Wprost z Wenecji pochodzi zachwycające lewe skrzydło tryptyku *Zdjęcia z krzyża* przedstawiające nawiedzenie świętéj Elżbiety, gdzie Najświętsza Panna w szkarłacie, w całym blasku młodości idzie eleganckim i majestatycznym krokiem, jako królewna a w przyszłości owdowiała królowa Niebios. Ztamtąd jest także wzięte pyszne tło obrazu na dwie strony S. Bawona w Gandawie, ze swemi ładnemi ubiorami i mnóstwem pięknych twarzy; w sposobie zaś malowania wzruszających scen Flamandczycy byli sami sobie mistrzami, a żaden z nich za swych najnamiętniejszych czasów nie wyrównał potędze dramatycznéj Rubensa. Tę potęgę trzeba widzieć w *Chrystusie między dwoma łotrami*, znajdującym się w muzeum antwerpskiem, na którego bez łez nie można patrzeć. Chrystus oddaje ducha ze słodyczą i poddaniem, właściwemi jego życiu, a ten rozrzewniający widok tembardziéj uwydatnia konwulsyjne wykrzywienie złego łotra, który jak widać kona z największą trudnością.

(d. c. n.)

¹) Nie ma zasady, któraby nie miała wyjątków, a te wyjątki są liczne w sztuce flamandzkiéj, Kwincjusz Matsys, Rubens, Van Dyck i inni nieraz malowali Najświętszą Pannę w różnym wieku i postaci, ale najczęściéj jako *Matkę bolesną*.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*)

Дозволено Цензурою.

Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Wszyscy się śmieli, Surwiński gniewał prawie.

— Zresztą, rzekł trzeba raz z tem skończyć ja idę prosto do celu. Od niego państwo się nic nie dowiecie, bo widocznie mówić nie chce.. Innego postanowiłem użyć sposobu. Towarzysz mój wojskowy pułkownik Fiszer mieszka w Warszawie, piszę do niego. Zna całe miasto.. Zeznał p. Pilawski ten mniemany, iż w Warszawie mieszka, zobaczymy.. przekonamy się. Że w tem tkwi tajemnica — dodał gorąco Surwiński, daję słowo i rękę..

— Czynisz go awanturnikiem — przerwała hrabina — gdzież dziś kto widział, aby ludzie po świecie pod cudzemi nazwiskami chodzili? do czego? na co?

— W wielkich familjach są sprawy, okoliczności, zawikłania, wymagania, których my ludzie pospolicie wcale nie rozumiemy, dodał uparcie Surwiński — Piszę do Fiszera i odpowiedź jego będę miał honor zakomunikować.

Surwiński wyszedł, ale po ucieczce jego. długo jeszcze rozprawiano i cieszono się tym nosem.. Tym czasem nadszedł dzień pikniku, od tak dawna oczekiwanego..

Młodzież usiłowała wystąpić tem bardziéj, iż wymagania hrabiny były wielkie starano się więc zadziwić nawet ją.. Posłano po kucharzy, po cukry, po wina, po ciasta, gdzie tylko zasłyszano iż je dostać było można. Salę starano się wykokietować, wystroić, wykadzić, wygładzić.. a dowódzcy tańców i generałowie kotyljonów z przejęciem się obowiązkami swemi zabierali się do kierowania zabawą. W przeddzień już zaproszenia ostateczne gospodarze rozesłali. Gdy nadeszła koléj na panią i pannę Domską, które widywano czasem z panią Jaworkowską mówiącą po słów kilka, a z Gabrjelem na przechadzkach, komitet naprzód zasięgnął zdania i wiadomości przezacnéj choréj. Pani Jaworkowska wolałaby była na ten raz mieć fluksję, reumatyzm i migrenę, niż znaleść się w położeniu tak niesłychanie drażliwem i przykrem. Nie mogła zataić i brać na siebie odpowiedzialności za nieszczęśliwy tytuł przyjaciołki.. *marchande de modes*. Z drugiéj strony wyrzec ten potępiający wyrok na biedną kobietę nie miała serca. w razie przemilczenia, gdyby towarzystwo krynickie zkąd inąd późniéj, wypadkiem doszło kto była pani Domska!.. A nużby w nieświadomości stanu rzeczy hr. Żelazowski zaprosił pannę Elwirę do tańca? Nużby hr. Palczewska siedziała na jednéj kanapie z modniarką, nużby ją baronowa Ormowska potem zaprosiła do siebie. nużby, nużby...? Pani Jaworkowska truchlała zastanawiając się nad następstwami!. Utaić prawie nie było podobna! Powiedzieć otwarcie było zabić nieszczęśliwą Domską i jéj córkę. które chociaż unikały rozumnie towarzystwa, ale nie doznawały przynajmniéj od niego upokorzenia.. Wrazie gdyby wyraz ten piętnujący nieszczęśliwe kobiety rozszedł się z ust do ust nie pozostawało im jak chyba wyjechać precz z Krynicy..

Zresztą i pani Jaworkowska, któréj stosunki z temi paniami poszlakowano, w razie spowiedzi zupełnéj sama by się znalazła w nader przykrem położeniu, bo ją widywano poufale rozmawiającą, a w hotelu pod Różą wiedziano, że te panie znały się bliżéj i bywały u siebie. Pomimo więc wielkiego strachu ażeby się prawda nie odkryła, zagadnięta pani Jaworkowska znalazła się z wielkim taktem i zręcznością.

— Panią Domską — rzekła, znałam młodą panienką na pensji, gdzieśmy z sobą kolegowały.. Wiem, że jest córką bardzo szanownego obywatela, właściciela ziemskiego.. który majątek wprawdzie stracił w końcu. Za kogo potem poszła. jaka jéj sytuacja nie wypadało mi pytać.. bo...

— Ale jak tylko tak jest...

— Ja nie wiem.. może być, że z powodu ruiny ojca, jaki niewłaściwy związek zawarła. o tem nie wiem, istotnie nie wiem.

— Ale cóż to do kogo należy?

Skończyło się tedy na tem, że na pana Pilawskiego młodzież włożyła obowiązek zaproszenia tych pań. Gabrjel z chęcią się podjął poselstwa, do którego także nastręczał się Surwiński.. Plotka puszczona cichuteńko przez Hercegowinę, mimo że ją sobie z ust do ust podawano, i że poparta była imieniem Mamrotha, którego urzędowe stanowisko znali wszyscy nie czyniła wielkiego wrażenia. Nie dawano jéj wiary zbadawszy źródło, znano bowiem starą dewotkę z jéj złośliwego języka.

Pilawski opatrzony w bilet i plenipotencję, korzystał z nich, aby o niezwykłéj porze zasztukać do drzwi pani Domskiéj. Pomimo że się bronił jak mógł uczuciu rodzącemu się dla Elwiry, było ono już na tym stopniu rozwiązania, że rozumowi z sobą mówić nie dawało Pilawski bronił się słabo, a chodził do Domskich jak mógł najczęściéj. Oczy panny Elwiry przyjmowały go bardzo dobrze, ale matka — i sama panna nader zimno, nie tylko go nie starano się zachęcić i ośmielić, ale pani Domska czasami zdawała się chcieć mu dać do zrozumienia, iż niewłaściwe czynił kroki. Domska jak wszyscy prawie w Krynicy była przekonaną o Pilawskim, iż zajmował w obywatelstwie miejsce znaczące, miał rodzinę bogatą, stosunki świetne.. Matka więc rada go była zawczasu oddalić od córki, będąc pewną iż zbliżenie do niczego nie doprowadzi, prócz zawodu i cierpienia, a upokorzenia Elwiry. Że Pilawski tę oziębłość wcale znowu inaczéj sobie tłomaczył, pojąć łatwo. Widział oznaki zamożności otaczające te panie i był pewien, że matka dla Elwiry szukać będzie człowieka z tytułem, z imieniem ze stosunkami jéj własnym odpowiedniemi.

Zrażony tem nieco pan Gabrjel trzymał się na wodzy, nie posuwał ani na krok daléj wyraźnie okazywał iż panią Domskę zrozumiał a mimo to Elwiry oczy przyciągały, gdy się na chwilę spotkał z niemi na przechadzce i przemówił, dawał się opanować urokowi jéj i zapomniał o najmocniejszych postanowieniach. Rad więc bardzo, że mu powierzono zaproszenie, pan Pilawski zapukał.. Zastał Elwirę samą, gdyż matka znużona położyła się była, towarzyszyła jéj tylko córeczka Jaworkowskiéj, która jak mogła najczęściéj przybiegała do Elwiry, zaprzyjaźniwszy się z nią bardzo. Grały w piłkę gdy wszedł Gabrjel. Elwira zawstydziła się dziecinnéj zabawki, gość rozśmiał się, dziecko także mające już pretensje słusznéj panny przy obcych, schowało co najprędzéj tę nieszczęśliwą piłkę..

— Nie tylko nie przeszkadzam — zawołał z progu Pilawski, ale jeśli przyjęty zostanę, pomogę..

Panienka schowała się do kątka.

— Przychodzę w poselstwie, odezwał się gość, przynoszę paniom w imieniu młodzieży na piknik jutrzejszy bilet zapraszający, a zlecono mi ażebym ustnie poparł go jak najusilniejszą z méj strony prośbą, by panie zabawę tę obecnością swoją zaszczycić raczyły..

Elwira spuściła oczy zawahała się.

— Chociaż prawie pewną jestem, że mama na pikniku być nie może, bo jest cierpiącą a ja w żaden sposób i z nikim bez niéj być bym nie mogła jednakże ażeby się to nie wydało samowolą z méj strony, pozwoli pan...

Z biletem w ręku wybiegła do drugiego pokoju. Dzieweczka pani Jaworkowskiej zostawszy na chwilę gospodynią, wyprostowana, poważna aby zatrzeć kompromitującéj piłki wspomnienie, jęła się przechadzać przekonywając ruchami i postawą pana Gabrjela, że wcale już dzieckiem nie była. Przechodząc około zwierciadła spoglądała w nie i dziwiła się jak była uroczyście słuszną i stateczną osobą. Na chwilę nawet, nie wiedząc jak zawiązać rozmowę wzięła książkę ze stolika i poczęła ją przerzucać z wprawą czytelniczki nałogowéj, oczy jednak po nad książką śledziły wrażenie jakie dobrze odegrana rola, czyniła na pięknym młodzieńcu.. Scena ta nie trwała jednak długo z wielkim żalem artystki i widza, wprędce bowiem weszła panna Elwira z biletem w ręku.

— Byłam pewna, że mama nie może być na wieczorze — rzekła — doktór wyraźnie jéj zakazał, ja nie pozwolę, a sama bez niéj być nie mogę.

— Przecież z mamą.. z moją mamą.. wrzuciła śmiało Jaworkowska.

— Ale z nikim w świecie, gdy matka w łóżku i cierpiąca, przerwała Elwira — za nic w świecie!! Racz pan podziękować za pamięć o nas, przeprosić bardzo.. i.. już nic więcéj...

Pilawski spojrzał smutny na Elwirę.

— Czy to jest nieodwołalne? spytał. — Przyznam się pani, że lękam się aby wina niepomyślnego poselstwa nie spadła na mnie. Młodzieży tancującéj mamy dosyć, panien jest nie wiele.

— Ale ja prawie nie tańcuję — zawołała Elwira.. moja przyjaciołka — wskazała na małą Jaworkowską — wyręczy mnie z ochotą i zapałem. Dzieweczka się zarumieniła.

— Stanowczo więc? — spytał Gabrjel.

— Nie będziemy bo być nie możemy..

— Towarzystwo jest bardzo miłe, ożywione, najlepszego tonu.. rzekł Pilawski.. i jeśli panie wstrzymuje obawa...

Elwira zarumieniła się strasznie. — Nas? obawa?.. zmiłuj się pan.. na myśl to nam nie przyszło..

Pomimo otrzymanéj odprawy, Gabrjel, który czuł i wiedział, że panna Elwira swobodniejszą z nim daleko była pod niebytność matki, radby był pobyt swój przedłużyć, rozmowę przeciągnąć na nieszczęście nie znajdował powodu.

— Mam pani służyć jaką książką? zapytał..

— O! Dixona jeszcze nie skończyłam, a Dumas'em trochę się dławię. dziękuję panu.

— Jest rzecz dziwna, wtrącił Gabriel — że mimo niepospolitych talentów pisarzów ostatnich lat, żadna ich książka nie obchodzi, nie przyciąga, nie zajmuje tak jak niedawne jeszcze dzieła téj epoki naszego wieku, która była jakby odrodzeniem ducha.

— Téj epoki ja niepomnę — odparła Elwira — pan także zapewne nie żyłeś w niéj, lub nie czułeś że żyjesz.. ale porównywając to co około 1830 roku wyszło z tem co wychodzi 1866 — czuć że tamto byli artyści, a to są rzemieślnicy po troszę. Technika została, natchnienie upadło.. W tamtéj chwili w coś wierzono, dziś my w nic. oprócz naszego smutku..

— To prawda — szepnął Pilawski — zmęczyli się wszyscy, wyżyli.. odpoczywamy..

Gabrjel widocznie szukał pozoru tylko do dłuższéj rozmowy. — Nie chce pani zamówić sobie godziny fortepianu w Warszawskim Hotelu?

— Dziękuję, mówiłam panu — muzyka w danéj godzinie jest dla mnie niemożliwą.

— Ale tęsknota za fortepianem...

— Przeżyć ją potrzeba jak wszystkie tęsknoty..

Pilawski musiał choć niechętnie się pożegnać, podali sobie ręce, które się ledwie zetknęły, lecz oczy Elwiry pełne wyrazu, smutne, mówiące, spotkały się z jego oczyma i powiedziały mu — do widzenia!

Zaledwie Pilawski odszedł, wbiegła niespokojna pani Jaworkowska, która pana Boga nawet samego prosiła w duchu by natchnął Domską a dał jéj myśl nieprzyjęcia biletu odmówienia. Nieśmiała się tego spodziewać.

— Moja Elwiro — rzekła chwytając ją za rękę, no cóż? no co? był pan Pilawski z zaproszeniem? nieprawdaż?

— Tak jest.

— No i cóż? i cóż? proszę cię, jakżeś się zdecydowała?

— Wie mama, podchwyciła córka — ja za Elwirę mam tańcować, proszę się jéj spytać saméj..

— Odmówiłyście? jakto? z nietajoną radością zawołała przyjaciołka — dla czego?

— Mama chora a ja sama być nie chcę i w chwili gdy ona cierpiąca ani bym mogła.

Przyjaciołka aż w czoło ją pocałowała.

— Rzeczywiście lepiéj nie mogłyście zrobić Choroba, niedyspozycja, i po wszystkiem.. Ja także nie wiem czy będę na pikniku, choć mi doktór ruch zaleca.. Nie jestem zdrowa, pootwierają okna będą przeciągi, gorąco.. Nie nie mogę, nie pójdę, albo tylko na chwilę, *pour faire acte de présence.*

— Ale ja muszę być — odezwała się dzieweczka aby za Elwirę tańcować.

Na to nie było odpowiedzi, Jaworkowska poszła do pokoju przyjaciółki powinszować jéj tego taktu z jakim się znaleść umiała. Łatwo się domyśleć, że choroba pani Domskiéj była umyślna w istocie. Biedna kobieta czuła fałszywe położenie, i korzystać nie chciała z tego iż jéj nieznano..

— Ja tak by jesteś rozumna i poczciwa! zawołała Jaworkowska, jak to dobrze, że ty tam nie idziesz.

Spojrzała — Domska w oczach miała łzy.

Piknik jakkolwiek pozbawiony kilku pań na których współudział rachowano, pod berłem hrabiny Palczewskiéj rozpoczął się bardo wesoło i świetnie. Na kilka godzin przed nim, zaręczały głośno chore i zdrowe tancerki, że nie mają ubrań, że wcale występować nie myślą, że u wód strój powinien być jak najskromniejszy itd. itd. pomimo to jednak gdy poczęły wchodzić na salkę oświetloną *a giorno* (chociaż stearyną) okazało się, że w tych ubraniach mogłyby były wystąpić w Krakowie pod Baranami i we Lwowie pod Kawkami. W pierwszéj téj chwili zapaśnice naprzód rozpatrywały się w sobie i uśmiechały z zadowolenia lub z zazdrości, a gdy, choć nieosobliwa, zabrzmiała muzyka, serca młode zadrgały, młode nóżki tupnęły. Do tańca! do tańca! Hrabina Palczewska miewała różne fantazje bywały lata, że nie tańcowała wcale udając starą i znużoną, potem skakała zapalczywie choćby dnie i nocy z rzędu. W Krynicy nie miała ochoty. Czy na to nie wpłynął objawiony głośno przez Pilawskiego wstręt do tańca? Nie jesteśmy pewni ale złe języki już upatrywały pomiędzy dwojgiem zawiązek czulszych stosunków. Myliły się one biorąc grzeczność Gabrjela za zajęcie hrabiną, a może ciekawość pani za początki serdecznéj skłonności. Szeptano sobie, iż na panią Emilję przyszedł nareście dzień przeznaczeń, wyroków, stanowczy. Lucia i Musia, a nawet stara Ormowska dodawały, że nos pana Pilawskiego ją oczarował. Grejfer, który miał nadzieję nadziei podobania się, zwrócił się jakichś zasięgnąwszy tajemnych informacji ku pannie Domskiéj. Potrafił się wcisnąć do niéj i nadzwyczaj był nadskakujący, obie panie wszakże odpowiedziały mu grzecznym a wyrazistym chłodem, który on sobie zwyciężyć postanowił. Jednym ze środków przez niego dobranych było, że od rana do wieczora, ilekroć spotykał i mówił z paniami, częstował je swemi stosunkami poufałemi z arystokracją. Wybór nie był nader trafny, lecz Grejfer ten sposób uważał za panaceum powszechne i nigdy szkodzić nie mogące. Na ten raz było ono wszakże szkodliwem.

Nie bez przyczyny młodzież lubi bale i tańce, nie mówiąc już o przyjemności skakania i popisu zręczności, siły, postawy, w téj wrzawie balowéj pospolicie z największą łatwością rozmawiają z sobą ci, co gdzieindziéj poufale, serdecznie zbliżyć się nie mogą. Zapał zabawy, upojenie dodaje odwagi i usta śmieléj wymawiają wyrazy, których by w biały dzień w chłodny czas wyrzec się nie ośmieliły. Z tych zabaw wynoszą się owe na piersiach potem piastowane pamiątki, drogie rękawiczki podarte, zeschłe kwiatki bukietów, kawałki wstążek i wonne chusteczki niepoczciwie skradzione. Tak bywało dawniéj, i dziś jeszcze u niejednego siwego a zgarbionego jegomości chowają się pod kluczem owe zabytki przeszłości, z których przy inwentarzu pośmiertnym śmieją się krewni i kanceliści. Czy teraźniejsze pokolenie, praktyczniejsze nierównie od tych co je poprzedziły, pójdzie za przykładem przodków — wątpimy. Inaczéj się ono wychowywało, a ta cześć kobiety — ideału, ta miłość Mickiewiczowska i Schillerowska, osiemnastoletnim aspirantom do egzaminu maturitatis wydaje się śmieszną, późniéj mowy być o niéj nie może. W dwudziestym roku młodzieniec jest mężem stanu i pozytywistą, marzy o reformie społecznéj, a niewieście nadawszy emancypację, traktuje ją jak dobrego kolegę, z którym nie potrzebuje robić ceremonji. Nie przesadzam wcale, jest tak, a czy na tem młodość zyskała, kobieta, człowiek, rozwiązywać nie będę. Wpadłem nawet w rozprawę tę niezupełnie potrzebnie, bom chciał tylko wytłomaczyć w jaki sposób hrabina Palczewska, która dotąd nie miała zręczności bałamucić Gabrjela, bal właśnie i najliczniejsze zgromadzenie wybrała ku temu celowi. Wiedziała bardzo dobrze, iż wszyscy czemś innem zajęci, wcale na nią uwagi zwracać nie będą. Wytłomaczyła się od tańca bólem głowy i bezsilnością jakąś. Gabriel nie tańcował też, tylko wybierany do figur, z musu. Pokrążywszy chwilę i szukając sobie miejsca, hrabina zbliżyła się sama do niego.

— Jak to dobrze, że pan nie tańcujesz! rzekła, — mam kogoś do rozmowy..

— A! najniezdolniejszego w świecie — zaśmiał się Gabriel, wszyscy moi przyjaciele oddają mi tę sprawiedliwość, że nie umiem prowadzić rozmowy.

— Po cóż ją prowadzić? przerwała Emilja — jeśli ona nie idzie sama, niańka nic nie poradzi. Probujmy, mnie się zdaje, że przy takiéj obfitości przedmiotów..

— A! pani! czy się w to liczą i stroje dam? spytał Pilawski, — W tych rzeczach nie jestem kompetentny, a wiem że świętokradzeą się zowie, kto śmie kobietę oskarżyć że się ubrać nie umie..

— Patrz pan nie na stroje. Spojrz na twarze, na uśmiechy, na przyciągania i odpychania objawiające się w tłumie, na wrażenia tańca, na.. a! zmiłuj się pan, widoków zajmujących bez miary!

— Ale pani zamiast tak zimno się im przypatrywać, powinna byś raczéj napić się z téj czary.

— A! aż do mętów z niéj piłam, fusy na dnie!

— Jak wszędzie.

— Nie wszędzie.

— Gdzież ich nie ma?

— Gdy powiem nie uwierzysz mi pan, bo to co powiem jest do mnie niepodobne — a jednak będzie to wyraz najrzeczywistszy méj duszy.

Pilawski spojrzał zdziwiony, hrabina przybrała minkę poważną.

— Wszystko to są dziecinstwa, preludja życia, przegrywki do szczęścia lub niedoli.. Raz kiedyś zacząć żyć trzeba na serjo. Jam dotąd grała preludia. chciałabym rozpocząć wielką Sonatę moich przeznaczeń. Jestem wdową, ale mogę powiedzieć, że nie byłam prawie mężatką. Wydano mnie dzieckiem za mąż, parę lat tego związku pamiętne mi są tylko sukniami które nosiłam i brylantami w które się ubierałam. Wdową wróciłam prawie do dziecinnych lat, ze swobodą emancypowanéj kobiety. Wolno mi było zaglądać we wszystkie kątki życia.. bawiłam się.. znudziłam. Dosyć tego..

— A zatem, rzekł Pilawski, pozostaje tylko.....

— Ja panu powiem, *je ne suis pas béguile*, pozostaje mi zakochać się mocno i pójść za mąż, a potem być albo zawiedzioną i nieszczęśliwą, albo bardzo, bardzo szczęśliwą... Wszak mi się to należy?

Pilawski nic nie odpowiedział, spojrzała nań: — Co pan na to?

— Przestraszony jestem, żeby kto oprócz mnie nie posłyszał tych wyrazów i nie wziął ich na serjo.. mógłby...

Pani Palczewska ruszyła ramionami.

— Bez niebezpieczeństwa mogłabym je powiedzieć głośno. Niechby się starali wywołać moją miłość, ale powiedz mi pan, sąż to ludzie do kochania? Lalki, komedjanci, przepraszam pana, czubate dudki, człowieka nie widzę.

To mówiąc zwróciła oczy na Gabriela, spojrzała nań straszliwie i zamilkła..

Pilawski jakkolwiek młody, był niezmiernie ogłędny i wyraziste wyznanie hrabiny wziął za fantazję, za wyskok oryginalny — nic więcéj. Była czarującą ale razem straszną. Smiałość jéj, szczerość, energja czyniły ją uroczą, a mimo to przerażały. Wzrok był jakby potwierdzeniem słów, wywoływał odpowiedź.

— Pani, rzekł zwolna Pilawski, między ludźmi mało jest rzeczywistych ludzi, a najmniéj tych co-

by byli niemi logicznie życie całe. Chwilami słabniemy wszyscy. Szukając ideału można go nigdy nie znaleść.

— *Mais je suis de bonne composition* — odezwała się Palczewska, nie żądam od człowieka więcéj nad to, by choć pięć minut był idealnym. Mało kto i to potrafi. Więcéj powiem, udawać go nawet nie umieją i nie silą się. Patrz pan—dodała.— Każdy z tych panów, nie wyjmuję i panie, ani chcę wyjątku dla siebie, ideał swój nosi wypisany na całéj postaci, bo naturalnie każdy się sili pojęcie o nim na sobie urzeczywistnić. Gdybym się nie obawiała, abyś mnie pan poczytał za bardzo złośliwą, zrobiłabym przegląd całego koła naszego, aby panu pokazać jak nędzne są ideały tych panów.

Dajmy temu pokój. Bez pochlebstwa, pan przynajmniéj wyglądasz na szanującego siebie i każącego się szanować człowieka, na istotę myślącą, poważną, a nie obawiającą się rozśmiać, żeby nie spadła z piedestału.

Pilawski ręce załamał.—Ah, pani hrabino—na Boga, proszę sobie nie żartować ze mnie!Ja nie mam najmniejszéj pretensji uchodzić za coś innego jak za bardzo pospolitą istotę, chodzącą po ziemi i podległą wszystkim ziemskim słabościom.

— Ja także!—zawołała hrabina.— Widzisz pan, że moją jedyną cnotą to, że nic nie udaję, że jestem taką, jaką mnie Bóg stworzył. I dla tego może, ludzie nawykli do szukania czegoś skrytego w każdym, we mnie domyślają się jeszcze więcéj niż widzą—zatem... okropnych rzeczy.Przysięgam panu że się mylą. Mam tę wadę tylko, że nie mając co z życiem zrobić bawić się chcę, i tę dziką pretensję że radabym być szczęśliwą.

Pilawski był jak na mękach, słuchając tych zwierzeń, nie pochlebiał sobie, by one więcéj jaki cel miały nad chwilową rozrywkę i zakłopotanie młokosa, ale mu było z tem jakoś dziwnie przykro, nie wiedział co odpowiadać. Ochłonął wreście, mówiąc sobie — trzeba oddać szczerością za szczerość:

— O szczęściu,—rzekł,— tyle jest chodzących po świecie plotek, że nie wiedzieć czemu wierzyć. Z porównania ich wszystkich wyciągnąć można tylko ten pewnik, że szczęście acz rzadko zjawia się, ale kwitnie krótko i podlega łatwo zniszczeniu.

— Choćby było krótkie — byle go skosztować!— odpowiedziała hrabina.— Od młodu nam nabijają niem głowę. A pan wierzysz w nie?

— Nie myślę o niem.— rzekł Pilawski.—mam to przekonanie, że człowiek dopiero postrzega, że był szczęśliwym, gdy nim być przestaje.

— Zdaje mi się, żem to gdzieś czytała?—rozśmiała się hrabina.

— Nie zaręczam czym się nie zapożyczył, choćby z greckiéj antologji,—rozśmiał się Gabrjel.— Człowiek już teraz nic nowego wymyśleć nie może.

Wybrano hrabinę do figury, poszła zrudzona widocznie, dając szal do trzymania Pilawskiemu, co obudziło wiele zazdrości i szepty wywołało. Wróciła wkrótce, przeszedłszy po sali i na nowo rozpoczęła rozmowę. Była ona prowadzoną jak część pierwsza w tych ogólnikach o życiu i świecie, które nieznacznie najwięcéj powiedzieć dozwalają, pozornie nic prawie nie mówiąc, Pilawski odpowiadał tylko, trzymał się na wodzy i widocznie nie dawał upoić ani wzrokiem, ani słowem, ani nadzwyczajną publicznie mu okazywaną łaską, która by innemu głowę zawróciła. Hrabina to postrzegła.— Ten człowiek musi być już zakochany,—rzekła w duszy do siebie — ale choć trochę trudniéj zdobyć twierdzę zajętą, nie myślę rozpaczać, żeby mi się to udać nie miało... mam za sobą bardzo wiele, jeśli się kocha w panience, to jako wdowa mam więcéj swobody ruchów, słowa, i broń której tamta użyć nie może. Zobaczymy.

— Kochałeś się pan kiedy w życiu?—zapytała nagle kończąc rozmowę.

— Ja?—rzekł drgnąwszy mimowolnie Gabrjel — O! pani, to pytanie, które tylko spowiednikowi zadać wolno i na które się nawet spowiednikowi odpowiada czasem nie zupełnie szczerze. Któż się nie kochał? Ja w Wenerze z Milo, w Madonnach Rafaela w Mignon Goethego, w Beatrysie Dantejskiéj.

— No,— i w garderobianie mamy?—przerwała śmiejąc się hrabina..

— Nie!

— To w kuzynce?

— Nie, bom nigdy jéj nie miał.

— A w kimże?

— Jeśli potrzeba gorączki i nadziei, ażeby scharakteryzować to uczucie, nie kochałem się nigdy,— marzyłem na różne tematach i to była moja miłość.

— Artysty,— a jako człowiek, miałeś pan choć namiętności? To pytanie było już tak dziwnie zuchwałe, że Gabrjel zdrętwiał i zamilkł. — Hrabina ramionami ruszyła.

— Widzę żeś się pan przeląkł. Prawda, aleś może nie zrozumiał mnie. Jesteś tak zimnym doprawdy, że go zaczynam posądzać o komedją chłodu. Umyślniem tu żarzący węgiel rzuciła na lód, cóż pan na to?

— Będę otwartym,—rzekł Gabrjel.— od namiętności broniły mnie uczucia. Marzyłem i nie miałem czasu szaleć.

— A marzenie nigdy nie przeszło w szaleństwo, ani uczucie w namiętność?

— Dotąd— nie,—odparł Pilawski.—Wynikło to po części zapewne z mego — tu się zająknął — z mego trochę excentrycznego położenia towarzyskiego, iż do życia nie jestem śmiały, patrzę, uczę się go— wystąpić nie mam ochoty.

Z niezmierną ciekawością kończyk téj nici Ariadny pochwyciła pani Palczewska.

—Wspomniałeś pan o nieco ekscentrycznem położeniu swojem, czy godzi się pytać o bliższe objaśnienie téj zagadki? —podniosła oczy hrabina i zobaczyła Gabrjela bladym jak ściana, drżącym, zmieszanym, w postaci winowajcy, którego na ścięcie prowadzą. Uderzył ją ten zbolały wyraz twarzy, te usta na pół otwarte, z których słowo się dobyć nie mogło.

— Co panu jest?—zawołała przestraszona..

— Mnie? — Nic — gorąco w sali — cicho odezwał się Gabrjel,—przepraszam panią hrabinę.. zupełnie nic! To już przechodzi.. ale niech mi wolno będzie na zadane pytanie nie odpowiedzieć.

Na tem skończyła się rozmowa. Hrabina spuściła głowę, zamyśliła się — zrozumiała, iż w życiu tego człowieka było w istocie coś, czego zdradzić nie chciał, wyznać nie miał siły, ale cóż to być mogło? Zbrodnia? Ohydne wspomnienie? Wina rodziców? Nie mogła w mętnych przypuszczeniach wpaść na żadną myśl jaśniejszą. Tymczasem piknik coraz się ożywiając, rozpasując, można powiedzieć szałem ogarniał tancerzy. Pani Palczewska jakby z rozpaczy rzuciła się w wir taneczny z całą gorączką sobie właściwą. Obejrzała się nie rychło, szukając oczyma Pilawskiego. Nie było go, usłużny kuzyn doniósł, iż mu duszne zaszkodziło powietrze i poszedł do domu. W istocie Gabrjel chodził po samotnéj uliczce około źródła zamyślony, smutny, z zarzuconemi w tył rękami., marzenia tłumem zwijały mu się po bolącéj głowie.. i wzdychał. Miał lat dwadzieścia kilka!

Piknik sam z siebie był bardzo świetnym, ale miał i tę dobrą stronę, że nimby się na drugi zdobyto, obfitéj dostarczył treści do rozmów, opowiadań i domysłów. Pomimo zajęcia tańcami, uważali wszyscy bardzo dobrze, długą i ożywioną rozmowę między hrabiną, a panem Pilawskim. Postrzeżono iż Pilawski po niéj wysunął się wcześnie, a hrabina nagle jakoś rzuciła się do tańca, choć zrazu oświadczyła, iż tańcować wcale nie będzie. Pilniejsi badacze humorów, meteorologowie dusz ludzkich, zauważali nazajutrz, mimo wesołéj zabawy, chmurkę niezwyczajną na czole hrabiny, która uparcie powiększała się do wieczora, nie znikła nazajutrz i pozostała, zagrażając jakąś na tem niebie pogodnem dotąd nadzwyczajną zmianę. Grejfer badał jakie będzie zachowanie się Pilawskiego, ale w nim najmniejszéj nie znalazł jawnéj różnicy.

Dobrych dni kilka zeszło na przygotowaniach do drugiego wydania pikniku, które miało być powiększone i poprawne przez autorów. Wodę wypijano ze źródła jak zwykle, deszcz przekrapiał codzień, zabłacano się na nigdy prawie nie wysychającym deptaku,— rzeczy szły trybem powszednim, gdy około południa jednéj niedzieli, zameldował się hrabinie z uroczystą jakąś miną pan Karol Surwiński. Pani Emilja siedziała nad książką dosyć znudzona. Gdy wszedł, złożyła ją z rezygnacją, spodziewając się, że gość będzie jeszcze od książki nudniejszym i zacznie od deszczu.

P. Karol siadł. Na twarzy jego malowało się trochę niecierpliwości, hamowanéj dla przyzwoitego znalezienia się. Zagail, pytając o zdrowie, doniósł, że pani Jaworkowska cierpi na okrutną fluksję, że Ormowska pogniewała się na Lusię, za niezręczne znalezienie się na pikniku, że pani Domska znowu od dwóch dni nie wychodzi, że ks. biskup Łętowski przyjechał itp.

— Ale ja czuję, że pan mi masz coś innego do powiedzenia, i wybierasz się zbyt długo, czytając przedmowę. Przystąp do rzeczy!—zawołała przenikliwa hrabina.

— Jakże się pani mogła tego domyśleć?—zapytał zdziwiony niezmiernie stary kawaler.—Chyba już pani co wie? Ale zkąd i jak? Bo słowo honoru daję, jednéj pani Ormowskiéj..

— Nic nie wiem, baronowéj nie widziałam, czytam z twarzy waszéj, panie Karolu.

— Z mojéj twarzy? Proszę, proszę!—rzekł ramionami ruszając p. Karol—Ale pani chyba jesteś jasnowidzącą!

— Trochę, czasem—rozśmiała się pani Palczewska — ale mów i nie cedź.

Surwiński przybrał twarz uroczystą, zwolna założył prawą rękę za surdut, dobywając coś z kieszeni i począł obejrzawszy się:

— Nie lubię rzeczy robić przez połowę,—rzekł,— gdy postanowię co, dotrę zawsze do gruntu. Otóż w sprawie tajemniczego p.Pilawskiego, powiedziawszy sobie, że napiszę do Warszawy, napisałem.

(d. c. n).

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg)

Imci pani Mac-Stinger wymawiała te słowa donośnym głosem, nasłuchując czy ją nie dojdzie z pierwszego piętra jaka uwaga, i mając na nią odpowiedź gotową.

— Powiem to wszystko kapitanowi, odparł łagodnie Walter, skoro tylko raczy mię pani wpuścić do domu.

Jakkolwiek drzwi były otwarte, przeszkodą jednak była do wnijścia drewniana jakaś zapora, prawdopodobnie dla tego w poprzek schodów położona, aby mali Mac-Stingerowie nie łazili po nich i z nich nie spadali w czasie niewinnych swych rozrywek.

— Myślałabym, rzekła pogardliwie Mac-Stinger, że kto o mało drzwi moich nie rozwalił, potrafi przez tę deskę przeskoczyć.

Walter nie miał nic pilniejszego jak wziąść te słowa za rodzaj zachęty, i przesadziwszy jednym susem zaporę, puścił się po schodach zostawiając za sobą groźną jejmość wielce oburzoną, i wyrzekającą głośno na to pogwałcenie cudzego mieszkania. Ale Walter ani jéj słyszał, biegł bowiem jak strzała po schodach, i przebywszy strefę mgły wilgotnéj spowodowanéj wyziewami prania, był w jednéj chwili w pokoju kapitana. Zastał tego ostatniego zaczajonego za drzwiami; wyglądał mocno wzruszony, a nawet zatrwożony.

— Powiadam ci, mój chłopcze, rzekł z cicha do Waltera, żem jéj nigdy na grosz nie był dłużny, robiłem co mogłem żeby jéj dogodzić, starałem się przypodobać jéj dzieciom, a wszystko to nic nie pomaga; jak jéj mucha na nos wsiądzie, to o mało domu nie roztrzęsie.

— Żebym był na pana miejscu, to bym się wyprowadził.

— A na co mi się to przyda? Odszukała by mię ona na świata krańcach. Ale siadaj no mój chłopcze, — jak się miewa stary Sol.

W chwili wejścia Waltera, kapitan całkiem ubrany i w kapeluszu na głowie, zabierał się właśnie do obiadu, złożonego z baraniéj pieczeni, z butelki porteru i z gorących kartofli, które sam sobie ugotował i które brał po jednemu z małego rondelka. Zanim jeść zaczął, odszrubował haczyk zastępujący mu rękę, a w miejscu jego założył nóż, którym począł obierać kartofel dla Waltera, zadając mu pytanie: Jak się miewa stary Sol?

Młodzieniec już się był nieco wysapał, ale zarazem utracił w części podniecenie wywołane przyśpieszonym biegiem; usłyszawszy tedy zapytanie kapitana, popatrzał na niego przez chwilę, potem zawołał tylko:

— O mój drogi kapitanie!.. i na głos się rozpłakał.

Nie ma wyrazu coby zdołał określić trwogę i zdumienie Cuttla na ten widok. Obraz wdowy Mac-Stinger pierzchnął nagle z jego myśli. Upuścił na stół kartofel i widelec, a prawdopodobnie byłoby się i z nożem stało to samo, gdyby się spodziewał usłyszeć lada chwila od niego, że się przepaść rozwarła w Starem mieście i że w nią runął stary jego przyjaciel wraz z tabaczkowym swym frakiem, okularami, chronometrem i innemi przynależnościami.

Wszelako gdy się kapitan dowiedział od Waltera o co tu właśnie chodziło, stał się o wiele spokojniejszym. Po krótkiéj chwili namysłu, wstał z miejsca i wziąwszy z najwyższéj półki kredensu nie wielkie blaszane pudełko, dobył z niego cały swój pieniężny zapas, wynoszący trzynaście funtów i pięć szelingów i wsunął skarb ów w kieszeń granatowego fraka, dodając do niego dwie łyżeczki od kawy tak zużyte i pogięte, że raczéj na szkielety łyżeczek wyglądały, i równie stare szczypczyki od cukru. Potem wydobył gruby srebrny zegarek z głębokiéj kieszeni w któréj zwykle spoczywał i obejrzał go, aby się zapewnić że ów sprzęt szacowny w zupełnie dobrym był stanie, przyszrubował sobie znowu stalowy haczyk do ręki i wziąwszy w drugą gruby kij sękaty, dał znak Walterowi, aby za nim poszedł.

W chwili jednak gdy już miał wyjść z pokoju, przypomniał sobie pomimo gwałtownego wzruszenia jakiego doznawał, że na dole mógł napotkać groźną wdowę i zawahał się nieco, spoglądając w stronę okna, jakby miał niejakie nagabanie sprobować téj ryzykownéj drogi dla uniknienia spotkania z nieprzyjacielem. Ostatecznie jednak, chwycił się pewniejszego i mniej niebezpiecznego środka, chcemy powiedzieć — podstępu.

— Słuchaj no chłopcze, rzekł do Waltera, dając mu nieśmiało znak aby poszedł przodem — idź ty pierwszy, a kiedy będziesz z domu wychodził, krzycz głośno, do zobaczenia, kapitanie! Potem zatrzymasz się na rogu pierwszéj ulicy i tam na mnie poczekasz.

Plan kapitana Cuttle zdradzał głęboką znajomość taktyki przeciwnika, zaledwie bowiem Walter zeszedł ze schodów, imci pani Mac-Stinger pojawiła się na progu kuchenki, podobna do mściwego widma. Wszelako, zawiedziona w nadziei spotkania swego lokatora, poprzestała na kilku mrukliwych wyrazach, skierowanych przeciw gościom wywalającym bramy domów i wróciła zaraz do kuchni.

Upłynęło prawie pół kwandransa zanim kapitan znalazł odwagę sprobować wyjść z domu, i Walter czekał dość długo na rogu ulicy, nie mogąc wypatrzeć błyszczącego kapelusza ceratowego. Ale wreszcie Cuttle wyleciał znagła z sieni jakby z procy i śpiesznie podbiegł ku Walterowi, ani się razu po za siebie nieoglądając. Dopiero gdy weszli w sąsiednią ulicę, przybrał minę bardzo rezolutną i począł gwizdać jakąś piosenkę okrętową.

— Wiesz co chłopcze, rzekł idąc, nasz poczciwy Sol djable się już starzeje.

— O prawda, kapitanie. Gdybyś go dziś widział naprzykład! — doprawdy, póki żyć będę, nie zapomnę tego widoku.

— Idźmy prędzéj, chłopcze, odparł Cuttle, przyśpieszając znacznie kroku. Kto prędko chodzi, nigdy tego nie żałuje; — wywieś przed sobą tę zasadę jak flagę, i trzymaj się jéj zawsze.

W dalszym ciągu drogi kapitan nie odezwał się więcej do Waltera, zapewne w skutek silnego wzruszenia jakiego doznał. Wszystkie jego myśli krążyły około ciosu jaki spadł na przyjaciela i około własnego zajścia z wdową Mac-Stinger, niepodobna mu zatem było przynieść młodzieńcowi swą rozmową jakąkolwiek korzyść duchową. Przybyli tak w milczeniu aż przed sklepową wystawę starego Sola, zkąd nieszczęsny miczman zdawał się wypatrywać ratunku z jakiejbądź świata strony.

— Słuchaj no Gillzie, zawołał Cuttle wpadając do izdebki i ściskając serdecznie rękę przyjaciela, tylko mi się trzymaj ostro, śmiało idź pod wiatr, a damy radę wszystkiemu. Czy mię rozumiesz stary? Ostro się trzymaj, a podołamy wszystkiemu — powtórzył tak uroczyście, jak gdyby w tych słowach mieściły się najszacowniejsze tajniki ludzkiéj mądrości.

Stary Sol uścisnął nawzajem jego rękę, dziękując mu serdecznie za okazane współczucie. Wtedy kapitan przybrawszy postawę poważną, zastosowaną do okoliczności, położył na stole łyżeczki, szczypczyki od cukru, zegarek i pieniądze, potem zapytał komornika jaka była cyfra długu Salomona i czy te rzeczy wystarczały na jego zapłacenie.

— Ależ mój panie, cóż mi po tem? rzekł Bregley. Te graty na nic mi się nie przydadzą.

— Dla czego? spytał Cuttle.

— Dla tego że pan Gills winien mi ni mniéj ni więcéj jak trzysta sześćdziesiąt funtów i sześć szelingów.

— To i cóż z tego? odpowiedział kapitan nadrabiając miną, jakkolwiek go wyraźnie zmięszała ta cyfra. Sądzę że do pańskiego niewodu każda ryba dobra, bierz tedy co się brać daje.

— Tak — ale zapominasz pan o tem, że od śledzia do wieloryba trochę daleko — odpowiedział Brogley.

Głębokość téj uwagi wyraźnie uderzyła kapitana. Zastanowił się nad nią przez czas jakiś, spoglądając z ukosa na komornika jak na człowieka niepospolicie bystrego, potem wziął Salomona na stronę i rzekł do niego:

— Słuchaj no mój stary, opowiedz mi całą tę sprawę bardziéj szczegółowo, radbym wiedzieć w jaki tu sposób zabrać się do rudla.

— Ciszéj! odpowiedział Gills, odejdźmy nieco daléj. Nie trzeba żeby o tem wiedział Walter. Dług ten widzisz, to dawny dług jego ojca, za którego kiedyś poręczyłem. Od jego śmierci, spłaciłem już znaczną część téj należności, ale daléj ani sposobu. Nastały złe czasy, mój poczciwy Nedzie, i tak potrochu człowiek coraz bardziéj podupadł. Tylko ani słowa o tem przed Walterem, rozumiesz przyjacielu? Ani słowa — na miłość Boga!

— A czy masz ty choć cokolwiek grosza? zapytał bardzo cicho Cuttle.

— O, muszę coś mieć przecie, pewnie że mam choć trochę, odpowiedział Sol, szukając naprzód darmo po pustych kieszeniach, potem gniotąc głowę w rękach, jak gdyby się jeszcze spodziewał z peruki coś wycisnąć. Widzisz, dodał wreszcie przerywanemi słowy i pląctąc się w swem zakłopotaniu — ja mam przecie cośkolwiek ale... to co mam... nie da się zmienić na pieniądze. Chciałem — ale nie było można. Chciałem... starałem się... ale jam stary... już nie dzisiejszy... jam do niczego. Doprawdy mam coś przecie... a jak potrzeba — to nie wiedzieć gdzie się to podziało....

Mówiąc, starzec patrzał wokoło siebie błędnym wzrokiem, a był w téj chwili tak podobny do obłąkanego, który pochowawszy w różne miejsca pieniądze, sam nie wie gdzie ich szukać, że mimowolnie kapitan szedł za jego wzrokiem w nadziei, że może lada chwila starzec przypomni sobie jakie kilkaset funtów ukrytych gdzieś w kominie lub w piwnicy. Ale Gills wiedział dobrze co o tem trzymać i wcale w innem znaczeniu mówił o swojem mieniu.

— Jam nie dzisiejszy człowiek — powtórzył z wyrazem spokojnéj rozpaczy, naprożno usiłuję zdążać za wiekiem, sił mi nie starczy, i coraz bardziéj z tyłu pozostaję. Najlepszą byłoby rzeczą sprzedać sklep, więcéj on zawsze wart niż ten dług wynosi, a jabym gdzie sobie w kącie śmierci doczekał. Przyjdzie ona niedługo — wyczerpałem już siły i odwagę, nie rozumiem handlu po dzisiejszemu — Niech sklep przedadzą i niech raz będzie koniec temu, niech zgąd wyrzucą tego biédaka — dodał wska-

zując na drewnianego miczmana — pójdziemy razem na śmiecie.

— Masz tobie! a co będzie wtedy z Walterem? spytał kapitan. No, no — uspokój się Solu, i pomówmy rozsądnie. Daj mi tylko chwilkę do namysłu, gdybym nie był biedakiem u którego końce zaledwie z sobą się schodzą, nie potrzebowałbym długo się zastanawiać, ale wszakże i tak, damy temu rady przecie. Trzymaj się tylko tego pod wiatr, mój stary, a wszystko pójdzie dobrze, dodał kapitan, ufny w wszechmocną siłę téj zbawiennéj porady.

Salomon podziękował mu serdecznie i usiadł sobie w najodleglejszym zakącie izdebki. Cuttle zaś, przechadzał się czas jakiś po sklepie, głęboko zamyślony i z brwiami tak nachmurzonemi jak szczyty gór przed burzą. Walter nie śmiał przerywać jego zadumy, Brogley zaś, nie chcąc być nikomu na zawadzie i przeczuwając w swéj przebiegłości, że cierpliwość najlepiéj mu się w tym razie opłaci, odszedł nieco na bok i począł oglądać barometry, brać w ręce kompasy i teleskopy, słowem oddał się szczegółowemu przepatrzeniu wszystkich sprzętów porozkładanych w sklepie, usiłując odgadnąć ich przeznaczenie.

— Walterze, rzekł wreszcie kapitan — jestem już w domu.

— Jakto? naprawdę? zawołał uradowany chłopak.

— Tak jest — już mam środek gotowy. Sklep widzisz, stanowi w każdym razie pewność; mając zaś tę pewność, twój pryncypał pożyczy nam potrzebnych pieniędzy.

— Pan Dombey? spytał z bijącem sercem Walter...

Kapitan przybrał wyraz twarzy poważny.

— Spojrzyj na niego — rzekł wskazując Gillsa, gdyby to wszystko co tu jest sprzedano, umarłby niechybnie, wiesz dobrze o tem. Musimy więc dołożyć wszelkich starań, aby zakład ocalić, musimy nie ominąć ani jednego kamienia nie zajrzawszy czy pod nim czego nie ma, a pod tym właśnie możemy coś znaleść.

— Już to prędzéj pod kamieniem jak w kieszeni Dombeya, odparł smutnie Walter.

— Na późniéj uwagi, mój chłopcze, a teraz w drogę co żywo. Naprzód ruszaj mi do biura i dowiedz się, czy tam nie ma Dombeya. Tylko spraw się żwawo, żebym ani się spostrzegł kiedy już będziesz z powrotem.

To mówiąc, kapitan pchnął z lekka w plecy Waltera, jakby w ruch go chciał wprawić. Chłopak nie opierał się więcéj, ostatnie spojrzenie rzucone na stryja dodało mu skrzydeł. Po krótkim czasie powrócił zdyszany, donosząc że Dombey wyjechał do Brighton. Była to właśnie sobota.

— Czy wiesz Walterze — rzekł kapitan który się zdawał przygotowany na wszelkie przeszkody, oto wybierzmy się zaraz do Brighton. Jadę z tobą żeby ci dodać odwagi. Zbieraj się — nie mamy czasu do stracenia.

Co prawda kiedy już szło o to, żeby się odwołać do hojności Dombeya, co było dla Waltera wielce przykrą ostatecznością, byłby on w każdym razie wolał rozmówić się z nim sam na sam, niźli mieć z sobą kapitana, od którego wpływu nie wiele się w tym razie spodziewał. Wszelako, ponieważ Cuttle miał prawdopodobnie w tym względzie zdanie całkiem przeciwne, a Walter znał zarówno jego upór jak cenił przywiązanie do stryja, — ze wszystkich więc tych powodów, nie pozwolił sobie żadnéj uwagi i wybrał się z nim razem w podróż. Pożegnawszy się na prędce ze starym Solem, kapitan nie omieszkał zagrążyć znowu w swe głębokie kieszenie przyniesione pieniądze i kosztowności, w celu — jak to przypuszczał Walter z trwogą pełną zgrozy, sprawienia stanowczego wrażenia na umyśle Dombeya. Potem udał się śpiesznym krokiem do stacji dyliżansów, powtarzając ciągle przez drogę swemu towarzyszowi, że niechybnie zostanie kiedyś wspólnikiem swego pryncypała.

X.

Dalszy ciąg przygód drewnianego miczmana.

Po dość długim czasie użytym przez majora Bagstocka, na śledzenie za pomocą lornetki coraz częstszych odwiedzin Pawełka u panny Tox i szczegółowe wypytywanie *dzikiego* o wszystko co się tyczyło sąsiadki, dojrzały ów kawaler powziął stanowczy zamiar zabrania znajomości z Dombeyem, uważając ten krok za konieczny do bliższego rozpatrzenia się w położeniu.

Panna Tox nie przestawała zachowywać postawy wielce chłodnéj względem majora ilekroć go spotykała, co — nawiasem mówiąc, dość się jakoś często zdarzało. Oziębłość jéj przemogła wreszcie żelazną wytrwałość majora, i koniec końcem musiał zdać dalsze losy swych uczuć w ręce Opatrzności, która jak to nieraz powtarzał w klubie — zawsze mu się okazywała przychylną. Na dowód tego przytaczał śmierć starszego swego brata, który umarł w Indjach z żółtéj febry, całkiem niespodzianie zostawując mu po sobie spadek.

W obecnéj jednak sprawie, Opatrzność kazała dość długo czekać na swój współudział, z tem wszystkiem w końcu nie zawiodła ufności majora. Pewnego dnia, właśnie gdy *dziki* zawiadomił swego pana że się panna Tox znajdowała w Brighton na służbie przy Pawełku, major przypomniał sobie z nagła z bardzo serdecznem uczuciem, że dosyć już dawno temu, odebrał był od przyjaciela swego Bitherstona list w którym tenże go prosił, aby będąc kiedy w Brighton, nie omieszkał odwiedzić tam umieszczonego syna jego. Serdeczność owa dla oddalonego przyjaciela wzmogła się jeszcze u majora, gdy w dalszym ciągu szczegółów udzielonych przez dzikiego dowiedział się, że Pawełek znajdował się u tejże samej pani Pipchin co i mały Bitherstone.

Radość jakiéj ztąd doznał, została jednak niebawem przerwaną bolesnem wrażeniem podagrycznych cierpień, które właśnie obecnie przykuwały go do krzesła. Przypomnienie owéj niewczesnéj przeszkody wywołało w majorze takie wzburzenie, że rzucił laskę za odchodzącym dzikim, dziękując mu w ten sposób za przyniesione wiadomości i klnąc się na wszystkie świętości, że niebawem wyrzuci za drzwi tego łotra.

Pewnego dnia wreszcie, major zawarłszy już rozejm z podagrą, wyprawił się do Brighton w towarzystwie swego murzyna, żywiąc w głębi duszy nadzieję zdobycia szturmem owego przyjaciela, dla którego panna Tox go porzuciła i z którym stosunki osłaniała tak dziwną tajemniczością.

— Poczekaj no, moja pani — mruczał sobie w drodze pod nosem, — rozprawimy się z sobą! Józef Bagstock mądrzejszy niż go sobie wyobrażasz. Szczwany to lis, ho, ho! nic nie ujdzie jego oka! Zobaczymy teraz czyje będzie na wierzchu, i czy znajomość z Bagstockiem wychodzi każdemu na dobre.

Ostatnie to zapytanie mógł był nieraz sobie zadać mały Bitherstone, podczas przechadzki którą odbył tego dnia z majorem. Ten ostatni, mocno nachmurzony i tak czerwony jak dojrzały pomidor, ciągnął go za rękę ani myśląc o nim, cały będąc zajęty wypatrywaniem czyli gdzie nie ujrzy Dombeya.

Nadzieja ta nie została zawiedzioną. Kierując się według wskazówek pani Pipchin, major napotkał wreszcie Florcię i Pawełka, idących w towarzystwie wspaniałego jakiegoś gentlemana, prawdopodobnie będącego ich ojcem. Gdy z umysłu Bagstock zbliżył się ku nim, stało się tak jak to był przewidział, że mały Bitherstone przemówił do swych współtowarzyszy niedoli. Wtedy major korzystając z wywołanéj sposobności, zatrzymał się podziwiając piękność dzieci, przyczem uczynił, niby ze zdziwieniem uwagę, że je widział i z niemi rozmawiał u swojéj przyjaciółki panny Tox, na książęcym placu. Dodał że znajduje Pawełka djabelnie ładnym, zapewnił że już z nim jest w jak najlepszych stosunkach i zapytał go czy pamięta majora Bagstocka? Wreszcie niby znagła sobie przypominając formy światowe, zwrócił się do Dombeya z wielką uprzejmością.

— Przepraszam uniżenie — rzekł — ale ten mój mały przyjaciel robi ze mnie istne dziecko, robi co mu się podoba ze starego Bagstocka. Jestem major Bagstock — do usług pańskich.

To mówiąc, uchylił grzecznie kapelusz.

— Do kroćset czartów! zawołał znowu z nagłym wybuchem zapału, zazdroszczę panu tego dziecka.

Potem, niby opamiętawszy się, dodał:

— Proszę mi darować ten zbytek szczerości.

Dombey go zapewnił, że mógł być o to spokojny.

— Stary wiarus jak ja, łaskawy panie, ciągnął daléj major — stary żołnierz co się nawąchał prochu po całym świecie, nie obrazi nigdy swą otwartością człowieka takiego jakim pan jesteś, panie Dombey. Wszakże, o ile mi się zdaje, mam zaszczyt rozmawiać z panem Dombeyem?

— Jestem w istocie przedstawicielem tego nazwiska — odpowiedział bankier.

— Jak mi Bóg miły łaskawy panie, znakomite to nazwisko — rzekł major. Nazwisko to — dodał, nastawiając się ostro jak gdyby był gotów wystąpić przeciw samemu Dombeyowi, w razie gdyby tenże nie zgodził się na jego twierdzenie — znane jest i szanowane w najdalszych Anglji posiadłościach. Nazwisko takie można z dumą wyglaszać, zapewniam pana. Jeśli kto, to Józef Bagstock nie zna co to pochlebstwo, nawet Jego Wysokość Książe Yorku oddawał mu nieraz tę sprawiedliwość. Stary to wiarus, szorstki i szczery może do zbytku — ale też za to, można święcie wierzyć jego słowom. Powtarzam panu — znakomite to nazwisko — całą gębą wspaniałe — dodał wymawiając te ostatnie wyrazy w sposób bardzo uroczysty.

— Zbyt może łaskawe pańskie ocenienie — odpowiedział Dombey.

— O nie panie, rzekł z żywością major. To co mówię, mówię z przekonania. Mały mój przyjaciel może tu za mną świadczyć. Wie on dobrze, że stary Józef musi zawsze wypowiedzieć co ma na sercu. Dziecię to, łaskawy panie — dodał z cicha major, żyć będzie w dziejach ludzkości. Niezwykły to jest okaz — ho — ho! czuwaj pan nad niem starannie.

Dombey dał znak świadczący o jego dobrych chęciach w tym względzie.

— Oto masz pan naprzykład tego chłopca, mówił daléj major, klepiąc małego Bitherstona laską po ramieniu; jest to syn Jerzego Bitherstona z Bengalu; dawnego mojego kolegi, a nawet kiedyś najserdeczniejszego przyjaciela. A czyż jestem zaślepiony względem niego, czy nie widzę wad tego malca? Przeciwnie — wiem wybornie, że jest to osioł i próżniak jakich mało.

Dombey spojrzał na biednego dzieciaka, któremu

przypadła tak niepochlebna wzmianka w rozmowie dwóch ludzi, zarówno nic o nim nie wiedzących i rzekł uprzejmie:

— Doprawdy?

— Powiadam to, bo tak jest, odpowiedział major. Józef Bagstock nie przebiera w wyrazach, bo to nie żaden salonowy cukierek, mój łaskawy panie.

Porównanie owo wywołało u majora tak gwałtowny wybuch śmiechu, że twarz jego z czerwonéj stała się ciemno-siną. Po chwili rzekł:

— Zapewne mój mały przyjaciel, będzie kończył nauki w uniwersytecie?

— Nie zdaje mi się — odpowiedział Dombey — zdrowie jego dosyć jest wątłe...

— O, w takim razie — podchwycił major — masz pan słuszność, masz pan najzupełniejszą słuszność, chcąc go przy sobie zatrzymać. Wychowanie publiczne wymaga sił wyjątkowych. W Sandhurzt gdzie do szkół chodziłem, braliśmy jedni drugich na męki, probowaliśmy nowo przybyłych wpychając ich w ogień, lub też wieszając ich głową na dół. Józef Bagstock, łaskawy panie, wisiał w ten sposób u sznura od dzwonu, przez całe czternaście minut.

Jakkolwiek powykrzywiane nogi majora dozwalały przypuszczać, że musiał kiedyś wisieć za długo, Dombey okazał w tem miejscu opowiadania niejakie zdziwienie.

— Tak jest — przez całe czternaście minut — jak mi honor miły, powtórzył major. Ale też kto ztamtąd wyszedł, wyszedł żelaznym człowiekiem i mogę się pochwalić że takim jestem — dodał, poprawiając z zadowoleniem żabot od koszuli. Czy pan teraz mieszka w Brighton? zapytał po chwili.

— Nie, ale przyjeżdżam co tydzień, odpowiedział Dombey, mieszkam w hotelu Betforda.

— Będę miał zaszczyt złożyć panu moje uszanowanie, rzekł major. Co prawda, nie codzień Józef Bagstock wizyty oddaje, ale też nie codzień można napotkać takiego człowieka jak Dombey. Nie mało zawdzięczam mojemu małemu przyjacielowi, za którego pośrednictwem dostępuję zaszczytu przestąpienia pańskich progów.

Otrzymawszy w odpowiedzi kilka słów uprzejmych, major pożegnał Dombeya, poklepawszy przy téj sposobności Pawełka po głowie i zapewniając, że oczy Florci nie długo wszystkim głowy pozawracają, bo w nich hochlik jakiś siedzi. Uradowany tym dowcipem, oddszedł śmiejąc się na głos i popychając przed sobą końcem laski małego Bitherstona, który uciekał jak tylko mógł najprędzéj. Idąc, major usiłował przybrać postawę pełną godności, ku czemu nie małą mu były przeszkodą nogi w kabłąk powyginane i idące zawsze każda po swojemu, jakby nic z sobą wspólnego nie miały.

Wkrótce potem Dombey otrzymał wizytę majora i oddał mu swoją, nie omieszkawszy wszelako zajrzeć przedtem do wojskowego rocznika, by stwierdzić stanowisko swego nowego znajomego. Następnie Bagstock odwiedził Dombeya w Londynie i tenże raczył go odwieść w swoim powozie, odtąd stosunki ich coraz się bardziéj zbliżyły, a nawet niedługo potem, Dombey w rozmowie z siostrą wyraził się o majorze bardzo pochlebnie, czyniąc uwagę, że nie tylko był to wojskowy bardzo w swym fachu wykształcony, ale że oprócz tego zdawał się pojmować dokładnie znacznie rzeczy, nie będących w żadnym związku z jego zawodem.

Gdy Dombey przybył powtórnie do Brighton w towarzystwie siostry i panny Tox, zastał tam znowu majora. Zaprosił go do siebie na obiad w hotelu, i przy stole winszował pannie Tox sąsiedztwa stosunku z tak zacnym człowiekiem.

Jakkolwiek mocno wzruszona temi słowy, pani owa, czuła się zarazem bardzo zadowoloną z podanéj jéj sposobności do okazania pewnego zakłopotania i zmieszania, które w jéj mniemaniu, wielce ją czyniło zajmującą. Przez cały ciąg obiadu, major przyczyniał się do wywoływania u niéj objawów wzruszenia, wspominając nieustannie o żalu, jakiego doznał po zniknięciu sąsiadki z książęcego placu, co czyniąc zdawał się zarówno zadowolony własną wymową, jak sprawianym przez nią skutkiem.

W ogóle, tego dnia rozmowa szła jakoś wcale nie źle przy stole, a jakkolwiek koszta jéj ponosił prawie wyłącznie major, umysł jego okazał się w tym razie tyle niestrudzony co i żołądek. Nie mijał ani jednéj z potraw, które mu podawano, że zaś było ich nie mało, a kuchnia hotelowa odznaczała się wykwintnością, przy końcu obiadu cera Bagstocka przybrała barwę dość zatrważającą, ale była to jedyna oznaka jego wysileń. Wielomówność jaką się odznaczał, dogadzała wielce zwykłemu usposobieniu Dombeya do milczenia; wszyscy się zatem ubawili wybornie w dniu owym, a w oczach pań major pozyskał stanowczo renomę człowieka dowcipnego i posiadającego niewyczerpane zasoby rozmowy. Gdy wreszcie już późnym wieczorem, Bagstock zabrał się do odejścia, Dombey ściskając jego rękę bardzo uprzejmie, powinszował raz jeszcze pannie Tox podobnego sąsiada. Nie potrzebujemy dodać, że lica téj wielce nieśmiałéj osoby pokryły się tą razą najżywszym szkarłatem, wpadającym wprawdzie w barwę nieco ceglastą.

Wracając do domu i rozpamiętywając dzieje dnia tego, major czuł się coraz więcéj uszczęśliwiony przeświadczeniem o własnéj przebiegłości. Gdy wszedł do swego mieszkania, usposobienie to doszło było do swego szczytu. Bagstock rzucił się na kanapę i wybuchnął tak głośnym i przeciągłym śmiechem, że widząc go zanoszącego się konwulsyjnie i z twarzą błękitną jak korale rozzłoszczonego indyka, murzyn stał w osłupieniu, myśląc z trwogą że zapewne pan jego zmysły postradał, lub że co najmniéj przypłaci atakiem apoplektycznym ów niesłychany przystęp wesołości.

Na ten raz jednak, wszystko się skończyło na mocnym paroksyzmie kaszlu, który gdy wreszcie minął, major uspokoił się stopniowo; uśmiechał się już tylko sarkastycznie rozmawiając z sobą półgłosem.

— A co teraz powiesz, moja piękna pani? mruczał sobie pod nosem. Czyś się tego spodziewała co się stało? Nie mądryż to ptaszek z tego starego Józefiska? Ho, ho, nie wstaniesz ty raniéj od niego — nie. Czuwa on nad tobą dniem i nocą i ani na chwilę oczu nie zmruży.

Ostatnie te słowa sprawdziły się niebawem dla majora. Do świtu bowiem nie potrafił zasnąć, a los ten dzielili z nim inni domu mieszkańcy, co chwila przebudzeni rozgłośnym jego krztuszeniem się i niecierpliwemi wykrzyknikami.

Nazajutrz — a była to właśnie niedziela — podczas gdy siedzący przy śniadaniu Dombey w towarzystwie siostry i panny Tox, wygłaszał znowu pochwały majora, Florcia wbiegła do pokoju, cała rozpromieniona.

— Ojcze — ojcze! — zawołała, Walter przyjechał z Londynu. Jest tutaj, ale nie śmie wejść.

— Co? co ona takiego mówi? spytał Dombey.

— Walter jest tu, mój ojcze, powtórzyła nieśmiało dziewczynka strwożona zbyt śmiałem poprzedniem odezwaniem się — ten sam, dodała, który mię kiedyś odszukał, kiedym się zbłąkała.

— O kim ona mówi, Luizo? spytał Dombey marszcząc brwi. Doprawdy, dziecię to zanadto stało się roztrzepanem. O ile rozumiem, mowa tu o młodym Gayu. Pójdź Luizo i zobacz o co chodzi.

Pani Chick wyszła śpiesznie i po chwili wróciła donosząc, że w istocie przybył młody Gay w towarzystwie jakiegoś człowieka najosobliwszéj powierzchowności. Dodała, że Walter chciał czekać dopóki się nie skończy śniadanie.

— Niech wejdzie zaraz — rzekł Dombey. Kto cię tu przysłał młodzieńcze? spytał wchodzącego Waltera; czy nie można było wyprawić kogo innego?

— Przepraszam pana najmocniéj, odparł młody Gay, ale mię tu nikt nie przysyłał. Wybrałem się z własnéj woli, ale mam nadzieję, że mi to pan przebaczy, skoro opowiem powody mego przybycia.

Podczas gdy mówił, Dombey zamiast go słuchać, przechylał się niecierpliwie to w jedną to w drugą stronę, jakby coś chciał dostrzedz po za nim.

— Cóż to takiego? rzekł wreszcie dojrzawszy kapitana. Sądzę że ten jegomość wszedł tu przez pomyłkę.

— Niech mi pan raczy darować, żem z sobą przywiózł tego pana, odezwał się Walter z pośpiechem; to jest mój przyjaciel, kapitan Cuttle.

— Tylko śmiało chłopcze, ozwał się półgłosem kapitan, trzymaj się tęgo, jestem przy tobie.

To mówiąc, wystąpił bardziéj na widok ukazując całemu towarzystwu swój dostatni frak granatowy, sztywny kołnierzyk i twarz ceglastą. Nie tracąc bynajmniéj fantazji, ukłonił się wszystkim uprzejmie, trzymając w jednéj swéj ręce ceratowy kapelusz, po którym pozostała mu na czole obręcz czerwona.

Dombey rzucił wejrzenie pełne oburzenia na owo dziwaczne zjawisko, poczem zwrócił się z wyrazem zgrozy ku paniom. Tymczasem Pawełek dostrzegłszy haczyk stalowy u ręki kapitana, cofnął się ostrożnie za Florcię.

— Powiedz że Gay, jaki masz do mnie interes? rzekł po chwili Dombey.

— Tylko śmiało, szepnął kapitan do Waltera, masz mię przecie za sobą.

— Nie wiem doprawdy panie, rzekł młodzieniec cały drżący i z wzrokiem w ziemię utkwionym, czy się nie zanadto śmiałym okażę w tym razie. Gdym tutaj przybył, zabrakło mi odwagi, i może byłbym odjechał nie zażądawszy widzieć się z panem, gdybym nie był przypadkiem napotkał panny Dombey. Tym sposobem.....

— Do rzeczy, młodzieńcze, do rzeczy — rzekł Dombey, którego brwi się zmarszczyły, gdy dostrzegł uwagę z jaką Florcia słuchała słów Waltera.

— Tak jest — do rzeczy, powtórzył kapitan sądząc, że się okaże człowiekiem dobrze wychowanym podtrzymując zdanie Dombeya. Mówisz jak z książki chłopcze, tylko śmiało daléj.

Gdyby chęć w czyn się odrazu przeistoczyć mogła, prawdopodobnie kapitan uczułby się w téj chwili rażony gromem od spojrzenia, którem mu Dombey podziękował za usłużną jego pomoc. Ale Cuttle dalekim był od podejrzywania tak zabójczych zamiarów pryncypała Waltera, nie stracił zatem bynajmniéj rezonu i przymknąwszy oko począł robić swym haczykiem obroty, które mu się zdawały pełne znaczenia.

— Sprawa za którą tu przybyłem, odezwał się młodzieniec z bijącem od trwogi sercem, jest mi całkiem osobistą, dla tego radbym aby pozostała o ile można, w tajemnicy. Kapitan Cuttle..

— Tu obecny—dorzucił właściciel tegoż nazwiska, chcąc tym sposobem przypomnieć swemu to-

warzyszowi, że mógł w każdéj chwili na niego rachować.

— Kapitan Cuttle, dawny przyjaciel mojego wuja i najzacniejszy ze wszech miar człowiek, ciągnął daléj Walter podnosząc wzrok ku Dombeyowi, jakby polecał tego o którym mówił jego przychylności, — chciał wybrać się tu ze mną i nie mogłem mu tego odmówić.

— Ma się rozumieć — nie mogłeś odmówić — dorzucił kapitan. Ruszaj daléj chłopcze.

— Odważyłem się tedy przybyć z nim do pana, mówił znowu Walter patrząc z rozpaczliwą odwagą wprost w oczy Dombeyowi — dla tego, że wuj mój Salomon Gills znajduje się w najcięższem położeniu. Od pewnego czasu, handel jego podupadł i teraz niepodobna mu zapłacić wekslu, którego termin właśnie wypada. Wierzyciel jest w prawie sprzedania całego zakładu, straty zaś podobnéj, nigdyby wuj mój nie przeżył. Gdyby łaska pana raczyła przyjść mu w pomoc w tem jego nieszczęściu, wdzięczność nasza byłaby bez granic.

Gdy to mówił młodzieniec, oczy jego zaszły łzami a w oczach Florci także łzy błyszczały. Ojciec jéj zauważył to, jakkolwiek zdawał się patrzeć ciągle na Waltera.

— Idzie tu o niemałą summę — ciągnął daléj młody chłopak — o całe trzysta siedmdziesiąt funtów. Wuj mój jest tyle przygnębiony swą niedolą, że stał się całkiem niezdolny do szukania środków ratunku. Nie wie nawet, żem się wybrał do pana. Co do mnie, sam nie umiem określić o co proszę właściwie, to tylko wiem, że jako pewność istnieje zakład mojego wuja, który żadnego innego nie ma wierzyciela i że kapitan Cuttle ofiaruje także swoje poręczenie. Ja zaś, pracując na pana kantorze... śmiem sobie tuszyć, że zasłużyłem na pewne zaufanie... Otóż — możeby jaka zaliczka... którąbym ratami zwrócił z mojéj pensji... wszakże i ja... i mój wuj, człowiek znany z uczciwości....

Głos Waltera zamarł wśród tych słów przerywanych; młodzieniec pozostał w milczeniu, z głową spuszczoną w obec swego zwierzchnika.

Uważając tę chwilę za stosowną do przedstawienia przywiezionych kosztowności, kapitan Cuttle zbliżył się śpiesznie ku stołowi i odsuwając na bok filiżanki pozostałe od śniadania, wydobył z kieszeni zegarek, łyżeczki i szczypczyki od cukru, i ułożywszy w kupkę wszystkie te przedmioty tak, aby się ich wydawało jak najwięcéj, rzekł z zadowoleniem.

— Lepsza połowa bochenka jak kromka, lepsza nawet okruszyna od niczego, a tu mamy przecie trochę okruszyn. Oto jeszcze i dowód na roczny dochód stu funtowy, który pójdzie na kaucję. Jeśli jest na świecie człowiek który ginie od zbytku nauki i zacności, to nie kto inny jak Salomon Gills; jeśli istnieje młodzieniec którego czeka świetna przyszłość, to nie kto inny jak jego synowiec.

To rzekłszy, kapitan wrócił na swe poprzednie miejsce, poprawiając sobie rozczochrane włosy z zadowoleniem człowieka, który doprowadził do końca nader zawiłą sprawę.

Dombey zwrócił był tymczasem całą uwagę na Pawełka, który widząc siostrę zalaną łzami, usiłował wszelkiemi sposoby ją pocieszać, spoglądając zarazem od czasu do czasu to na ojca, to na Waltera, z wyrazem pełnym znaczenia. Spojrzawszy przez chwilę z pogardliwem roztargnieniem na kapitana w czasie jego przemowy, Dombey utkwił znowu wzrok w twarzy syna, i przez czas jakiś patrzał na niego w milczeniu.

— Zkąd powstał dług ten i kto jest wierzycielem? spytał wreszcie.

— Zkąd? ten chłopak nic o tem nie wie ale ja za niego odpowiem — odezwał się Cuttle, opierając rękę na ramieniu Waltera. Oto przyjaciel mój Gills dał poręczenie za człowiekiem dziś nieżyjącym i który już dawniéj nie mało go kosztował. Bliższych szczegółów mogę panu udzielić na osobności.

(d. c. n.)

OPOWIADANIE ŻOŁNIERZA

WYDANE PRZEZ

Amadeusza Acharda.

I.

W miesiącu lipcu roku 1870, kończyłem trzeci kurs nauk w szkole Centralnéj Sztuk i Rzemiosł. Była to chwila, w któréj wojna już na wypowiedzeniu, napełniała Paryż gwarliwem ożywieniem. Po teatrach, tłumy wzburzone nieustannem podniecaniem pewnéj części dzienników, zrywały się co wieczoru, dla słuchania z szalonemi oklaskami groźnych zwrotek owéj Marsylianki, która do tylu klęsk zawieść nas miała. Na ulicach, wszędzie słychać było urywki pieśni Żyrondystów, wyśpiewywanéj ochrypłemi głosami uliczników. Gorączkowy ów stan, w znacznéj części sztucznemi sposobami wywołany, mógł na pozór dać sądzić że stolica pragnęła wojny i rwała się do niéj; rząd dał się w tym razie oszukać, bo chciał być oszukanym.

Niebawem dekret cesarki powołał do czynnéj służby ową gwardję ruchomą, któréj znana zła wola składających ją żywiołów, zdawała się skazywać na jak najdłuższy stan spoczynku. Znagła, znalazła się ona wprowadzoną w burzliwe życie obozów. Zarząd Szkoły Centralnéj przyśpieszył wydanie patentów i zaraz potem kursa zostały zamknięte. Byłem jednym z tych studentów, którym wypadło z porządku iść zaraz pod chorągwie i tym sposobem zostawszy przed kilku godzinami inżynierem cywilnym, znalazłem się w tymże samym dniu żołnierzem batalionu z Passy, oznaczonego numerem 13.

Zanim jeszcze gwardja ruchoma departamentu Sekwany została uorganizowaną, już łatwo było rozpoznać jak zły duch w niéj panował i do jakiego stopnia dochodził brak karności u żołnierzy. Któż z mieszkańców Paryża nie pamięta dotąd owych długich szeregów powozów i wózków wszelkiego rodzaju, odwożących do dworca kolei żelaznéj Wschodniéj to różnorodne i dziwaczne wojsko, wśród hałasu i zamętu nie do opisania? Cóż tam za pozycje i co za postawy widzieć było można! Co za odgłosy o uszy się obijały! Już sam widok podchmielonych band owych, udających się dorożkami na kolej, zapowiadał jak smutne miały dawać reszcie wojska przykłady.

Batalion do którego należałem został wysłany z Paryża dnia 6 Lipca do obozu pod Châlons. Spiewy, krzyki i zamęt trwały do samego dworca kolei, a i potem jeszcze długo w drodze ochrypłe głosy dawały się słyszeć z wagonów. Na każdéj stacji, powstawało z przybyciem naszem zamięszanie, którego żadne wyrazy nie zdołają dać pojęcia, była to istna wieża Babelu, wśród któréj żaden rozkaz, żadne zalecenie nie było usłyszanem. W jednéj chwili żołnierze wyskakiwali z wagonów i pędzili do szynkowni, w których nie jeden z nich zapomniał o odjeździe pociągu. Po drodze, ci z pomiędzy nas którzy zachowali przytomność, dowiadywali się smutnych szczegółów podobnych przejazdów z dni poprzednich. W niektórych miejscowościach pewna część owych dzieci Paryża, zrabowała bufety restauracyjne. Wszystko tam znikło pod ich rękami, nasamprzód żywność, potem zastawa stołów, wesoła bowiem owa młodzież pozabierała odjeżdżając szklanki i talerze, aby je potem powyrzucać przez okna wagonów, po prostu dla konceptu i dla rozrywki wśród nudów podróży. Na przystankach nieraz widać było gorliwszego od innych oficera, uganiające go się za żołnierzami wpadającemi na dziedzińce sąsiednich domostw, dla pochwycenia także sposobem żartu niby — królików lub drobiu jaki się im nawinął, W oknach, zdziwione twarze mieszkańców przypatrywały się owym objawom dowcipu stolicy.

W Châlons, zastaliśmy na dworcu kolei sale, dziedzińce i szopy pozapełniane rannemi i choremi leżącemi na ławkach, na ziemi, popodpieranych o ściany. Z komedji i farsy, przechodziliśmy odrazu do traicznéj grozy. Mieliśmy przed oczami nędzne niedobitki z pierwszych utarczek, byli tam żołnierze różnéj broni, dragoni i huzary, strzelcy, turkosy i zuawy; wszyscy zasmuceni, milczący i wyblędli, zaledwie jeszcze resztkami tchnienia dyszący. Ani tam słomy dla nich, ani ambulansów, ani lekarzy. Czekali na pociąg któryby ich zabrał. Setki wagonów zawalały szyny, przejście każdego pociągu wywoływało trudy niesłychane; po stacjach cała służba nie miała ani chwili wypoczynku.

Na samym odjeździe z Paryża otrzymaliśmy wieść o tych pierwszych porażkach, za któremi szybko w ślad iść miały niepowetowane klęski. Obecnie, miałem przed oczami krwawe i dotykalne świadectwo owych starć straszliwych, ku którym lekkomyślność, biegła niedawno temu z tak wesołą otuchą. Widok ten nie zmniejszał ani ostudzał bynajmniéj mojego zapału, ale litość przejmowała serce moje, gdym patrzył na tylu nieszczęśliwych, pomiędzy którem nie jeden wyczekiwał dotąd pierwszego opatrunku. Boże wielki! na tyle nędzy jakże mało pomocy!

Dostawszy się z Châlons do Petit Mourmelon po linii kolei urządzonéj wyłącznie dla potrzeb wojska, mieliśmy ztamtąd dojść już pieszo do przeznaczonych nam stanowisk. Pierwszy ten etap stanowił dla mnie nie mały odskok od dotychczasowych nawyknień mojego życia. Wczoraj jeszcze przejeżdżałem się powozem po ulicach Paryża, nie znając innego trudu fizycznego nad przechadzkę po bulwarach, dzisiaj trzeba mi było iść spory kawałek drogi, dźwigając mój żołnierski pakunek na plecach. Z niewysłowioną też uciechą spostrzegłem wreszcie namiot, który miał dać mi schronienie wraz z piętnastu towarzyszami. Nie było tam co prawda za bardzo przestronno, pewne przewiewy dające się też uczuwać od czasu do czasu, przypominały wśród lata w sposób niezbyt przyjemny, listopadowe chłody wdzierające się do wnętrza dzięki licznym udogodnieniom, jakie im dawały szpary i dziury, w tem wszystkiem jednak było słomy podostatkiem i ułożywszy się do spania jeden tuż obok drugiego, tak aby każden sąsiadowi za piec mógł posłużyć, znaleźliśmy wszyscy po krótkim czasie, błogi a tyle pożądany wypoczynek, i jakkolwiek nowicjusze w życiu żołnierskim, spaliśmy téj nocy jak stare wiarusy.

Z pierwszym brzaskiem świtu, zbudził nas wystrzał armatni, takiem też było jego przeznaczenie. Na podobieństwo pszczół wychodzących z ulów, roje ruchomych gwardzistów poczęły wydostawać się z namiotów. Każdy przeciągał się wyrzekając, ten na rękę co mu zdrętwiała, ten na zmęczone nogi. Wśród tego chóru skarg rozlicznych nie brakło żartów i dowcipków, jedni znajdowali że nas zbudzono za rano, drudzy się dopytywali, czy rychło nam podadzą kawę ze śmietanką? Niektórzy dziwili się na prawdę, że nie pomyślano o przyzwoitem dla nas śniadaniu, i złe ztąd wyprowadzali wnioski co do dalszych naszych losów w czasie kampanji.

Jeden z moich nowych towarzyszy, odznaczał się szczególnie owego poranku wykwintnością swoich wymagań we względzie komfortu. Słysząc jego utyskiwania sądziłem, iż był to co najmniej jakiś markiz lub hrabia, przeniesiony nagłem losu zrządzeniem z wytwornych salonów przedmieścia św. Germana, w demokratyczną atmosferę obozowisk. Lepiéj świadomy jego przeszłości kolega, sprostował niebawem moje pojęcia, nieznajomy panicz spełniał nie dawniéj jak wczoraj pożyteczne obowiązki odźwiernego. Zresztą, nie ten jeden raz miałem sposobność spostrzedz, że wymagania ruchomych gwardzistów paryzkich, bywały zawsze w odwrotnym stosunku z ich społecznem stanowiskiem; najgłośniéj wyrzekali ci, których mieszkaniem bywały dotąd poddasza i ciemne zaułki. Utrzymanie żołnierza wydawało się im nędznem, ubranie jego i przybory znajdowali po tandeciarsku odrobione.

Widok jaki przedstawiał obóz pod Châlons, przy blaskach wschodzącego słońca był istotnie wspaniały. Jak daleko wzrok zasięgał, same tylko białe stożki namiotów odznaczały się na równinie. Długie ich szeregi znikały miejscami w lekkich jéj zagłębieniach, ale daléj ukazywały się znowu tonąc w mglistych głębiach widnokręgu. Rojące się tłumy ożywiały swym ruchem to koczowisko o którem rzec było można, że mieściło w sobie wszystką wiosnę stolicy świata, ale smutna to była wiosna, nie wydawszy letniego plonu, miała już całą oschłość i znużenie zimy.

Przy bliższem jednak rozpatrzeniu, niejedna niedogodność dawała się dostrzegać w owym wspaniałym obozie, którego poważne zarysy sprawiały zrazu tak korzystne wrażenie. Szalone wichry wyprawiały nieustanne harce po tych rozległych obszarach, zasypując nam oczy tumanami kurzawy; przenikliwe zimno zastępowało w nocy dzienne skwary. Obfita i mroźna rosa zwilżała wtedy płótna namiotów, i podczas gdy o zachodzie słońca trudno było odetchnąć od upału, ze wschodem każdy szczękał zębami dreszczem przejęty.

— Rząd wie dobrze co czyni, pomrukiwali niektórzy z gwardzistów, zna żeśmy republikanie, więc nas potrochu wytraca.

Za pierwszym wystrzałem armatnim, życie budziło się co rano w całym obozie. Bębny i trąby odzywały się zewsząd, i ci z pomiędzy oficerów którym się udało pozyskać broń dla swych batalionów, uczyli je musztry nie umiejąc jéj sami. Nie jeden też oddział, nie mając karabinów, zastępował je kijami podczas nauki. Gwardziści nie posiadający własnych funduszów, poprzestawać musieli na żołnierskiéj strawie, panicze zaś zbierali się co dnia w Petit-Mourmelon, gdzie dostać było można wszystkiego potrochu, począwszy od Strasburgskich pasztetów i wina Szampańskiego dla smakoszów, aż do kubków do ust płukania dla wytwornisiów.

Odwiedziłem i ja to rozkoszne miejsce z prostéj ciekawości. Panowała tam bez przerwy odurzająca wrzawa; tłum zalegał nieustannie długą ulicę, po obu bokach któréj widać było nieskończony szereg restauracji, szynkowni, kawiarni i sklepików wszelkiego rodzaju. Snuły się tam pośród gwaru najrozmaitsze mundury, najprzeróżniejsze handle i zabawy tam się praktykowały. Tu zmieniano papiery, owdzie zastawiano zegarki, gdzieniegdzie tańczono zapamiętale. Miejsce to, stanowiące pośród obozu niby chorobliwą narośl, nie mało się przyczyniło do rozwinięcia w nim swawoli i braku karności. Żołnierz uczył się tam pijaństwa i zuchwalstwa. Opowiadano sobie z upodobaniem w kawiarniach Petit-Mourmelon, jakiem przyjęciem bataljony paryzkie nie dawno uraczyły przybyłego je obejrzeć marszałka Francyi: przechwalano się tym czynem, jakby bohaterskiem dziełem. Potrzeba było może, aby żelazna ręka nagięła do spełnienia obowiązku owe niesforne duchy, nawykłe czcić niekarność jako cnotę; na nieszczęście, obrano drogę pobłażliwości w błędnem mniemaniu, że mogła ku lepszym doprowadzić celom.

Każde szlachetniejsze serce chowające pamięć krwi świeżo przelanéj w Reichshoffen, musiało obrzydzić sobie wkrótce owe nikczemne i bezrozumne wrzaski, Uczucia moje w tym względzie podzielało kilku towarzyszy, dawnych moich znajomych z Paryża. Podobnie jak im, ciężył mi mundur który nosiłem i bezczynność nasza z dniem każdym stawała się przykrzejszą. Postanowiłem wyjść koniecznie z tak smutnego położenia. W tym właśnie czasie zasłyszałem o ściąganiu do Châlons resztek trzeciego pułku zuawów, którego pułkownik, Alfred Bocher był mi kiedyś znanym. Nie czekając długo, wyprawiłem się na odszukanie jego pułku i jego osoby.

Nie była to rzecz tak łatwa jak się ona może wydać komuś, co własnemi oczami nie widział rozległéj równiny Szalońskiego obozu. Wędrując od pułku do pułku, od baterji do baterji, poświęciwszy kilka godzin poszukiwaniom i zapytaniom na które nie umiano mi dać najczęściéj wyraźnéj odpowiedzi, dostałem się wreszcie do stanowisk zajmowanych przez 3-ci pułk zuawów. Było ich tam zaledwie kilkuset; gdy odpływali z Afryki liczba ich dochodziła trzech tysięcy. Przed namiotem siedział na składanem krzesełku pułkownik Bocher w towarzystwie kilku oficerów, którym snopki słomy służyły za siedzenie. Powiedziałem moje nazwisko i prośbę moją przedstawiłem.

— Czy wiesz czego żądasz odemnie, młodzieńcze? rzekł pułkownik. Nędza, trudy i cierpienia, to rzeczy znane każdemu żołnierzowi, ale dla mojego pułku nieodstępni to i codzienni towarzysze. Ma on sławę która dumnym mię czyni, ale jéj też zawdzięcza niebezpieczny zaszczyt pierwszeństwa w ogniu. Zastanów się, zanim pójdziesz za głosem młodzieńczego zapału.

Pułkownik musiał wszelako uledz moim prośbom, gdyż postanowienie moje było stanowcze. Skreślił tedy na prędce kilka słów zalecających przyjęcie mię natychmiastowe do czynnéj służby w jego pułku, i pożegnał mię nadmieniając, iż mam się udać jak najśpieszniéj do Paryża dla umundurowania się i dopełnienia należnych formalności w ministerstwie wojny. Nazajutrz byłem już w drodze, a w kilka dni potem, załatwiwszy wszystkie trudności mojego nowego położenia, pomiędzy któremi nie mało zajęło miejsce wynalezienia krawca zdolnego, wyszykować jakkolwiek mundur afrykańskiego zuawa, wybrałem się w podróż do Reims, opatrzony mniéj więcéj we wszystkie potrzebne mi przybory, z wyjątkiem strzelby i ładunków. Téj małéj rzeczy brakło jeszcze do mojego żołnierskiego rynsztunku; z resztą posiadałem bardzo porządny szal wełniany, kilka par takich skarpetek, dwie flanelowe koszule i parę chustek do nosa. Oprócz tego, w trzosie miałem zaszytą sporą ilość dwudziesto frankówek.

W wagonie, dostałem za towarzyszkę bardzo spłakaną kobietę, jadącą na odszukanie w jakimś pułku syna i brata, od których nie miała żadnéj wiadomości. Trzecim wreszcie, był inżynier wyprawiony dla niszczenia w miarę potrzeb wojennych tunelów i mostów, mogących się przydać nieprzyjacielowi. Miał ich z jaką setkę zanotowaną na tymczasem w swoim pugilaresie, i zdawał się bardzo zadowolony z ważnéj missyi jaką został zaszczycony.

W drodze, coraz nowi podróżni zajmowali miejsca w wagonie. Łatwo odgadnąć że mówiono tylko o wojnie. Każdy z nowo przybyłych przynosił wieść jakąś, zawsze prawie kłamliwą. W ogóle, jeśli nie zwątpienie jeszcze, to nagana i nieukontentowanie budziły się już w umysłach. Według jednych: sztab główny był wszystkiemu winien, według drugich, intendentura nie miała sobie równéj w niedołęztwie, a co szczególniéj w tych rozprawach uderzało, to że każdy z twierdzących wygłaszał swoje zdanie z pewnością człowieka fachowego, jakkolwiek w dalszym ciągu ich rozmowy okazywało się, że jeden wracał do swojego zamku, a drugi podróżował za interesami jakiéjś fabryki.

Gdyśmy dojechali do Reims, gdzie naówczas nie spodziewano się jeszcze tak bliskich odwiedzin króla Wilhelma, wszyscy moi towarzysze podróży pożegnali się ze mną. W ich miejsce wsiadł do wagonu oficer od artylerji, tak zabłocony jak gdyby wędrował przedtem piechotą z jakie trzy dni przynajmniéj, i tak zmęczony, że zaledwie oparł głowę o poduszki począł chrapać rozgłośnie. W ciągu nocy, przybyliśmy do Rethel, gdzie miałem się zająć odszukaniem mojego pułku. Deszcz lał jak z wiadra; całe miasto było jeszcze wzburzone wrażeniem odwiedzin jakie świeżo odebrało. Poważne owe siedlisko podprefekta departamentu, zostało zdobyte dniem przedtem przez czterech pruskich ułanów, którzy dopełniwszy tego walecznego czynu, odjechali sobie nie śpiesząc się wcale, tak samo jak byli przyjechali, nie czując się na siłach do utrzymania się przy swojéj zdobyczy. Usłyszawszy od właściciela hotelu w którym stanąłem, szczegóły tego niesłychanego zdarzenia, i uspokoiwszy jego obawy co do możliwego powrotu owych czterech ułanów, uzyskałem wreszcie wiadomość, że 3-ci pułk zuawów opuścił już od dni kilku miasto. Dokąd się zaś udał, tego mi nikt nie potrafił powiedzieć. Straciwszy kilka godzin na daremnem poszukiwaniu wyraźniejszych wieści i nie zdoławszy znaleść do nabycia w całem mieście jakiéjkolwiek strzelby, postanowiłem wybrać się nie czekając dłużéj do Mézières, gdzie miałem nadzieję czegoś więcéj się dowiedzieć. Pociągi już tam nie dochodziły, nająłem tedy powóz i puściłem się w drogę.

(d. c. n.)



N. 1—5. Ubrania domowe i wizytowe.

N. 1. Ubranie z podpiętem „vétement“ z wyszywanemi pliskami. Kostium „Germanja.“ Pliski patrz ryc. 22 i 23 w N. 48 Tygodnika Mód.

N. 2. Suknia z kolorowego „sultane“ z falbanami. Vêtement białe muślinowe.

N. 3. Ubranie wizytowe z aksamitu w paski, przybrane piórami. Kostjum „Papagena.“

N. 4. Suknia z gładką tuniką, przybrana aksamitem i atłasem tegoż koloru.

N. 5. Sukienka dla dziewczynki z materjału w rzucik. Plisy w dwóch kolorach.



N. 6—10. Ubrania spacerowe.

N. 6. Ubranie z tuniką i kaftanikiem. Okrągły kapelusz czarny aksamitny, przybrany woalem.

N. 7. Ubranie ze spódnicą w paski i gładkiem „Vétement“.

N. 8. Kostium z tunik,ą i stanikiem z baskiną; kostium ‚Vineta.“

N. 9 Kostium z tuniką garnirowany szlakiem wyszywanym i oszytym frendzlą. Kostium „Victoria“



N. 32—36. Strojne ubrania.

N. 32. Suknia z czarnój grenadiny lub gazy z muślinowem plisowaniem i czarną koronką.

N. 33. Suknia z kolorowéj materji z vêtement i garnirunkiem z muślinu w rzucik lub tarlatanu.

N. 34. Ubranie dla dziewczynki z białego i kolorowego muślinu.

N. 35. Jedwabna suknia z riuszą i szalowemi szarfami z gazy jedwabnéj tegoż koloru.

N. 36. Ubranie z gładką spódnicą i tuniką w paski, przybrane koronką i frendzlą.



N. 37. Kostium z otwartą tuniką krótkim kaftanikiem i koronkową chusteczką.

N. 38. Ubranie z tuniką, stanikiem pod szyję i karoczkiem. Kostium „Sennora“ zob. rękaw ryc. 19 w N. 48 Tyg. Mód.

N. 39. Ubranie z tuniką i karoczkiem. Kostium „Barbarossa.“

N. 40. Ubranie z tuniką i kaftanikiem z aksamitu i futrzanem obłożeniem.

N. 41. Bluza do malowania z szarégo płótna z pliskami białemi w deseń.